MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 29. WARSZAWA, 8 LIPCA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

TRAKTAT WERSALSKI

DNIA 29 czerwca r. b. upłynęło piętnaście lat od podpisania traktatu Wersalskiego. Dzieje tego piętnastolecia były próbą wytrzymałości tego traktatu. W ich świetle, oraz w świetle obecnego położenia w Europie można ocenić zarówno wartość ideologji, na której traktat oparto, jak i wartość jego postanowień terytorjalnych. Jeśli chodzi o artykuły traktatu, to można już dziś mówić tylko o tych, które dotyczą układu terytorjalnego w Europie, prawie wszystkie inne bowiem są dziś pozbawione realnego znaczenia — poszły mniej lub więcej w zapomnienie lub uległy rewizji.

Ideologja traktatu nie wytrzymała próby czasu. Była to ideologja pacyfistyczna, stanowiąca wyznanie wiary lóż i narzucona zgromadzonym w Paryżu przedstawicielom państw przez wielkiego kapłana — prezydenta Wilsona.

Pamiętamy ją dobrze. Wojna lat 1914 — 1918 miała być wojną ostatnią, po niej miał nastąpić pokój, oparty o sprawiedliwość, wymierzaną wszystkim narodom, których granice miały być wykreślane wedle słuszności, wynikającej z badań etnografji Europy. Nad dalszem przestrzeganiem tych zasad miała czuwać Liga Narodów, ukochane dziecko lóż i prezydenta Wilsona. Z takich założeń wychodząc, wzięto się do urządzania Europy, opierając się na pracach - badaniach całego legjonu ekspertów. Trudno jednak było zamknąć oczy na rzeczywistość — na geografję, na historję, na realne interesy narodów i państw. Musiano wziąć to wszystko w rachubę, starano się jedynie o uzgodnienie oderwanych zasad z wymaganiami rzeczywistości. Stąd powstał traktat - potwór. Nie był on ani czystem wcieleniem zasad, ani zadośćuczynieniem uprawnionym interesom. Traktat Wersalski jest tworem jedynym w swoim rodzaju, jeśli chodzi o pełnię apolityczności zasad, na których jest zbudowany. To jest jego słabością i to jest głównym powodem, że większość jego artykułów już poszła w zapomnienie...

Trwałą częścią traktatu były, są i będą jego postanowienia terytorjalne, a to z tej prostej przyczyny, że były one zadośćuczynieniem uprawnionym interesom narodów, które dążyły do niezależności i zjednoczenia. Ruchy narodowe wieku XIX zrobiły dążenia narodowe nieprzepartemi, doprowadziły do ich zwycięstwa. Inaczej być nie mogło; jest też złudzeniem przypuszczanie, że ta część traktatu da się obalić lub zasadniczo zmienić. Ubiegłe piętnastolecie było okresem utrwalania się granic, ustanowionych w r. 1919 i krzepnięcia nowych państw, które z wojny i zwycięstwa koalicji antyniemieckiej wyrosły. Jest rzeczą coraz jaśniejszą, że mówienie dziś o rewizji postanowień terytorjalnych traktatów z r. 1919 jest anachronizmem. Przestano też o niej mówić nawet tam, gdzie czyniono to niegdyś najgłośniej — w Berlinie i w Rzymie.

Jeśli nie jest dane narodom europejskim korzystać z pokoju i ze spokoju, jeśli wciąż mówi się i pisze o wojnie, to nietylko dlatego, że — jak zwykle po wojnach — narody zwyciężone dążą do zniweczenia rezultatów klęski, lecz i dlatego,

że błędna ideologja twórców traktatów z r. 1919 nie pozwoliła im na rozsądne i gruntowne załatwienie spraw, jakie stanęły na porządku dziennym po zakończeniu wojny. Porobiwszy radykalne zmiany w układzie terytorjalnym Europy, trzeba było stworzyć gwarancje realne utrzymania tego układu, to znaczy postawić nowe państwa w takich warunkach geograficznych i strategicznych, by mogły nowy stan rzeczy obronić i utrzymać. Na to wszakże nie pozwoliła ideologja, a z kompromisów powstały liczne błędy.

Najłatwiej dostrzeżemy to na przykładzie załatwienia sprawy granic państwa polskiego. Postanowiono państwo to odbudować, lecz gdy się zabrano do wytykania jego granic, zaplątano się w ideologji, odsuwając na bok względy, wynikające z geografji, względy strategiczne, komunikacyjne i inne. Postanowiono dać Polsce dostęp do morza, lecz przy ujściu Wisły utworzono szpunt w postaci niepotrzebnego Wolnego Miasta Gdańska, którego ustrój nie zadowala jego mieszkańców, krzywdzi Polskę i wytwarza źródło nieustannych niepokojów. Utworzono duże państwo, a zrobiono jednocześnie wszystko, by utrudnić jego obronę przed najazdem, pozostawiając *places d'armes* śląski i wschodnio-pruski w rękach niemieckich, wreszcie, zamykając oczy na doświadczenie tysiącletnie, chciano poprowadzić granicę wschodnią Polski odbudowanej po sławetnej linji Curzona.

Dziś, gdy ideologja wilsonowska nie wytrzymała próby życia, gdy się ujawniła zupełna nicość polityczna Ligi Narodów, gdy stało się rzeczą jasną, że narody będą zawsze musiały bronić swej niepodległości i całości z bronią w ręku, że wszelkie gwarancje papierowe w postaci paktów i aktów są nic nie warte, dziś — powtarzamy — braki traktatów z r. 1919 ujawniają się z całą oczywistością. Przyjdzie zaś czas, gdy staną się one powodem tragicznych w Europie konfliktów.

Traktat Wersalski uznał prawo narodu polskiego do niezależności i dał państwu polskiemu granicę zachodnią, odpowiadającą jego interesom. To wszakże nie może nas skłonić do zamykania oczów na błędność ideologji, na której traktat zbudowano. Usiłowanie pogodzenia realnych interesów politycznych z tą ideologją doprowadziło w wielu wypadkach do takich postanowień w zakresie terytorjalnym, które są w jaskrawej sprzeczności z wymaganiami politycznemi i strategicznemi. To zaś jest zarodkiem nowych konfliktów i nowych trudności dla narodów europejskich.

STANISŁAW KOZICKI

POCZĄTEK NASZEJ NOWOCZESNOŚCI

W ZWIĄZKU z poruszaną ostatnio na łamach prasy narodowej sprawą kryzysu naszej inteligencji i jej rozpaczliwego obecnie położenia, wydaje mi się rzeczą równie, a może nawet jeszcze ciekawszą, zastanowienie się nad tem, jaki właściwie dzisiaj świat u nas umiera i kiedy on się narodził. Chodziłoby więc tutaj o ustalenie, kiedy właściwie rozpoczyna się nowoczesność polska i co ją cechuje? — Albo, inaczej stawiając pytanie: kiedy narodził się u nas ten porządek społeczny i gospodarczy, którego zmierzch dzisiaj obserwujemy.

Zdawałoby się, że wprost narzuca się tutaj data upadku państwa, a więc rok 1795, jako najbardziej rozgraniczający epoki historji, i tak charakterystyczny, jak mało która data w jakichkolwiek dziejach, skoro do tego czasu naród działał przez swoje własne państwo jako narzędzie swej woli, — a później już tylko mamy samo społeczeństwo narodowe, bez jego najwyższej organizacji. Jednak taki pogląd jest jedynie pewnego rodzaju złudzeniem i utartą suggestją, a data ta, zwłaszcza gdy chodzi o historję społeczno-gospodarczą, czy historję kultury, wcale nie tak znaczną i tak epokową. Zachodzi tu coś podobnego, jak z datą „rewolucji Odoakra", końcem rzymskiego cesarstwa na zachodzie. Przywykliśmy oddawna uważać rok 476 za granicę starożytności i średniowiecza, — wyjątkowo wyraźny słup graniczny, rozdzielający od siebie dwie różne epoki. Tymczasem nic podobnego! — Przy bliższych badaniach okazuje się, że taką granicą jest dopiero rok 568, a zatem najazd Longobardów, zaś abdykacja Romula to fakt całkiem drobny i nieepokowy (porównaj artykuł w numerze 10 „Myśli Narodowej" z bieżącego roku).

Analogja tu tem większa, że obie „przełomowe" daty bynajmniej za takie przez swoich współczesnych uważane nie były, i przeszły stosunkowo niepostrzeżone, a dopiero później historycy je za takie ogłosili. Zresztą, pomijając już nawet świadectwo współczesnych, trudno poza utartym zwyczajem i suggestją coś na usprawiedliwienie epokowości daty trzeciego rozbioru powiedzieć, skoro nawet sama utrata państwowości, jaka wtedy nastąpiła, nie była faktem o tyle trwałym, żeby tworzyć epokę. Byt państwu polskiemu przywrócił już w 1807 roku Napoleon, a w 1815 odzyskało ono swą historyczną nazwę królestwa, i było przez wszystkich uważane za istotną odbudowę dawnego. Swiadczy o tem choćby napis na pałacu Zamoyskich i entuzjastyczne słowa J. S. Bandtkiego w przedmowie do II-go wydania jego „Dziejów". Że to nasze nowe państwo nie miało pełnej suwerenności — nic właściwie nie znaczy, bo nie miało jej także i królestwo Stanisława-Augusta, a nawet królestwo Wettinów, i to zarówno faktycznie, jak prawnie wobec traktatów o gwarancji. Za księstwa i królestwa Bignon czy Nowosilcow więcej znaczyli od rządu, ale już i w czasach stanisławowskich Repnin więcej znaczył od króla.

Gdyby chcieć więc przyjąć za zasadnicze kryterjum ostateczną datę utraty państwowości, to należałoby już chyba raczej przyjąć rok 1831, bo z upadkiem powstania rzeczywiście ginie państwo nasze na długo. Ale takiej koncepcji przeczy aż nadto wyraźnie ciągłość ideologji powstańczej. Przeczy ona zresztą również i epokowości roku 1795, skoro, pomijając Kościuszkę, powstaniem była już konfederacja barska, a za powstanie można nawet uważać także i taką konfederację tarnogrodzką z początków XVIII wieku.

Nowoczesność więc nasza zaczyna się oczywiście kiedyindziej, a jak w takim razie znaleźć dla niej kryterjum i na kiedy określić jej początek? Początek oczywiście przybliżony, bo mimo wszelkie pozory niema w całej historji takich dat, któreby rozgraniczały wyraźnie jedne epoki od drugich, zwłaszcza w przejawach życia duchowego, czy gospodarczo-społecznego. Mnie się wydaje, że taką najbardziej dokładną datą narodzin tego okresu naszej historji, który dzisiaj dobiega swego końca, będzie data wstąpienia na tron Stanisława Augusta, a więc rok 1764.

Od tego bowiem czasu Polska rządzi się ideą wiecznego postępu, tak charakterystyczną dla ducha mijającej epoki. Epoka poprzedzająca, tak samo jak i ta, która teraz nadchodzi, wierzyła w co innego: — w jeden stały ideał, zasadniczo niezmienny, wobec czego nie głosiła żadnej konieczności „postępu". Wogóle to pojęcie, poza sferą moralności, nie istniało dla niej. Czasy saskie były epoką nawskroś dogmatyczną; zrealizowano pewne postulaty i zmian żadnych nie pragniono. I kościół i państwo były zorganizowane raz na zawsze, zdawałoby się na wieki, — także cała kultura była w ten sposób nastawiona. Czasy stanisławowskie głosiły zgoła inny ideał. Zaczęły one nową erę, opartą na wierze w błogosławieństwo bezustannej ewolucji. Obalono wszelkie dogmaty, a na ich miejsce postawiono tylko ten jeden: ideję bezustannego i koniecznego postępu. Odtąd nie mogło być już nic stałego, bo ideałem stało się właśnie ciągła przemiana. Ten duch wprawdzie nie narodził się wtedy, ale wtedy zwyciężył i dostał władzę w swe ręce, dlatego też uważam, że czasy Stanisława Augusta stanowią jedność organiczną z XIX stuleciem, a nie z dawną Polską, która od konwokacji Czartoryskich właściwie już nie istnieje. Coś podobnego zachodzi też we Francji, gdzie nie można zaczynać historji nowoczesnej rokiem 1789, ale, na dobrą sprawę, trzeba się cofnąć aż do wstąpienia na tron Ludwika XVI-tego, skoro od tego czasu duch filozofów zwyciężył i ostatecznie zastąpił w opinji dawny dogmatyczny punkt widzenia „wielkiego wieku" Ludwika XIV-tego. Ciekawe uwagi o tem można czytać w książce Gaxotte'a o „Rewolucji francuskiej".

Charakterystyka czasów saskich i stanowiących z niemi jedną ideologiczną całość czasów „reakcji katolickiej" jest bardzo prosta i ułatwiona. W związku bowiem z ich pierwszą zasadą niezmienności założeń i dogmatów, i ustrój państwa i ustrój społeczny i kultura są jedne i te same przez cały długi okres ich trwania. Zmiany, nieuniknione nawet przy tego rodzaju nastawieniu, są jednak drobne i nieistotne, i dotyczą tylko ilości a nigdy jakości. Można więc te czasy także i pod względem społeczno-gospodarczym objąć jedną wielką syntezą i charakterystyką. Nie można tego już zrobić z następną epoką. Jest ona bowiem epoką ciągłych zmian, jednolitem w niej jest tylko jej tło ideowe: wiara w ewolucję, w wieczny postęp, w nieograniczone możności rozumu, w dobroć natury ludzkiej..., słowem w to wszystko, co dzisiaj bankrutuje. Wszystko inne, zgodnie z jej ideologicznem założeniem, wciąż się zmienia. Jest to epoka budowania wieży Babel, aż do samego nieba, a skoro jest taką, to scharakteryzować można tylko tę jej myśl przewodnią, ale szczegółową charakterystykę społeczną i społeczno-gospodarczą trzeba rozbić według poszczególnych okresów i etapów realizacji jednej i tej samej myśli.

Myśl ta, wspólna całej ówczesnej Europie, ani specjalnie nasza, ani specjalnie pożyczona, znalazła u nas, już od samego zarania, oryginalnych interpretatorów i współtwórców. Ani Staszic, ani Kołłątaj nie kopjowali bezmyślnie filozofów zachodu, ale właściwie snuli wspólną z nimi myśl na swój sposób. Wyjątkowo samodzielnym był Hoene-Wroński, dużo oryginalności posiadał Kamieński. Wogóle stwierdzić należy, że polska ideologja filozoficzna, czy gospodarcza (Supiński) tych czasów, była nawskroś narodowa, to jest oryginalna i z ducha narodowego płynąca. I tu dotykamy bardzo ważnego problemu: Zasadnicza myśl tych czasów była błędna, ani katolicka, ani Boża, ułudna pod każdym względem, i zganiona już współcześnie przez takie wybitne jednostki jak Mickiewicz, czy Krasiński, a jednak była ona niewątpliwie narodowa, i tak zespolona z duchem narodowym, że od niej wyszło narodowe odrodzenie. Ten splot jest doprawdy tragiczny i wycisnął swe piętno na całej nowoczesności polskiej. Zaczyna się to już od bojów barskich, kiedy zdrowie narodu, jego tężyznę i właściwego ducha reprezentują konfederaci, ale źródła ocalenia i rozum polityczny są po innej stronie, narodowej i nienarodowej zarazem. To samo jest z Komisją Edukacyjną, którą dlatego potępił Mickiewicz. Ten fatalny dualizm snuje się przez wszystkie powstania (dzięki temu upadły rewolucje) z największą szkodą dla narodu, — a zaczął się już u kolebki nowych czasów, kiedy rozbito naturalną solidarność ideałów. Ideał katolicki czasów saskich zgubiono i skompromitowano w obskurantyźmie politycznym, dzięki czemu duch naprawy narodowej znalazł się po innej stronie i sczepił z inną ideologją. Raz oddzielony od właściwego podłoża, nie prędko mógł już się doszukać wspólnej z Kościołem drogi, a sfiljowany z międzynarodową rewolucją schodził co trochę na bezdroża.

Doszło więc do paradoksu, że duch narodu znalazł się w obozie międzynarodówki, i ten nienaturalny paradoks wiele nas klęsk i niepowodzeń kosztował. Tragiczne zaiste nieporozumienie oparcia idei narodowej na fałszywej filozoficznej podstawie charakteryzuje naszą nowoczesność pod względem ideowym i politycznym. Charakterystyka społeczna, najciekawsza może ze względu na dzisiejsze powikłania i bolączki, od czego właśnie ten artykuł zacząłem, — wymaga oddzielnego ujęcia — etapami, tak jak się rozwijała.

KAROL FRYCZ

UNIWERSALIZM — INDYWIDUALIZM — PERSONALIZM

UNIWERSALIZM „CAŁOŚCI"

Wyraz „uniwersalizm" oznacza zasadę kultury (w najszerszym sensie tego słowa), odwołującą się do jakiejś powszechności, na tejże powszechności zasadzającą wartość podstawową (pierwszą w danym systemie), w przeciwieństwie do „indywidualizmu", który *ceteris paribus* odnosi się do jakiejś szczególności: Ile więc będzie indywidualizmów tyle uniwersalizmów, — idą one parami, są to pojęcia względne; może nie bez interesu dla Czytelnika będzie wartki przegląd kilku takich par, skoro wyraz „uniwersalizm" jest dziś popularny.

*

Naprzód uwaga ogólna: Indywidualizm i uniwersalizm mogą albo się zwalczać, albo współdziałać, jednocześnie, lub, wedle zasady dialektyki dziejowej, wykluczając się narazie, ale działając po sobie jako teza i antyteza, prowadzić do ostatecznej syntezy — albo wreszcie, kto wie, może nastąpić jakaś selektywizacja tych pojęć? Może wolno pozwolić sobie na taką przenośnię z fizyki, żeby zobrazować ich wzajemny stosunek: Sól rozpuszcza się w wodzie łatwo, złoto w wodzie nie rozpuszcza się wcale, ale się rozpuszcza w roztworze zwanym „woda królewska". Otóż w stosunku wody do soli, „uniwersalizm" wody bierze górę nad „indywidualizmem" soli kuchennej (zwalcza go i przemaga), natomiast wyklucza się wzajemnie z „indywidualizmem" złota; ten jednak zostaje pokonany przez „uniwersalizm" „wody królewskiej", tam zaś, gdzie fizyk mówi o „roztworach nasyconych", socjolog musi *mutatis mutandis* mówić o współdziałaniu indywidualizmu i uniwersalizmu.

Samo w sobie rozróżnienie „indywidualizm—uniwersalizm" nie zawiera w sobie żadnej oceny wartościowej, ogólnie wobec wszystkich par obowiązującej; np. największy jakiś indywidualista w sensie moralnym może być zażartym uniwersalistą, skoro np. idzie o wchłonięcie przez państwo grup autonomiczuych wewnątrz niego i naodwrót. Te uwagi nie są próżną „metodystyką" — (żeby skomponować takie słowo, na naganę niepotrzebnej gadaniny wstępnej) — ale są poto, żeby przeszkodzić, iżby indywidualizm czy uniwersalizm chadzały w ogólnej jakiejś glorji lub w takimże cieniu potępienia. Co wykazać zamierzam sobie.

„Uniwersalizm" znanego austrjackiego socjologa Spanna, który właśnie popularnym uczynił ten termin, ma sens teorjopoznawczy, wywodzi się od *universalia* (po łacinie), które były przedmiotem starego sporu scholastyków. Podstawową tezą Spanna jest twierdzenie, że „całość idzie przed częścią", że więc całość ma w sobie więcej bytu niż część, że więc całość ma w sobie wiącej wartości niż część. Stąd prawa społeczeństwa idą przed prawami jednostki.

Spann bierze stosunki międzyludzkie jako całość, dzięki której wyznaczone jest działanie elementów t.j. zachowanie się owych ludzi—i, rzekomo, gardząc psychologizmem, a z pojęć ogólnych wychodząc, prowadzi (nibyto) logicznie do szczegółów; np. biorąc pod uwagę przyjaźń i apriorycznie analizując, mówi, jakim jest przyjaciel; otóż, czytając ten i inne podobne ustępy „*Gesellschaftslehre*" nie mogłem ujść wrażeniu, że tu się popełnia logiczne nadużycie, i to dwojakie: Spann daje swój ideał przyjaciela, przy którym się jego prywatne uczucia zgęściły, i maluje ten ideał, sięgając w swoją psychikę: więc opis ten, rzekomo „fenomenologiczny", jest zamaskowanym opisem psychologicznym: On mówi: „przyjaciel jest takim a takim", a to nie znaczy nic innego, tylko: „takie jest moje, Spannowe marzenie o przyjacielu"; i zamiast powiedzieć, że „jeżeli znajdę takiego człowieka i w taki z nim stosunek wejdę, to stosunek ten nazwę sobie tem pięknem słowem przyjaźń" — (które, logicznie rzecz biorąc, będzie tylko epitetem zdobnym owego „stosunku"), on (nibyto) wyprowadza opis fenomenologiczny przyjaciela z analizy (nibyto) logicznej pojęcia „przyjaźni" — a co przecież jest niczem innem tylko opisem swego marzenia. Może ktoś inny będzie miał inne marzenie o przyjaźni? Więc inne wyprowadzi z pojęcia wnioski o przyjacielu — i kto tu kogo przekona? Zresztą, gdzież jest ta gotowa przyjaźń, którąby można uznać za „całość", ogarniającą obu przyjaciół? Ludzie przechodzą obok siebie na ulicy, nie znają się, poznają się przypadkiem, sobie wzajemnie są obojętni, potem coś ich wzajemnie zainteresuje, znów się oddalą, znowu przybliżą, zapalą się do siebie, zniechęcą, wrócą, przeproszą się, wątpią, czy się dla siebie nadają, eksperymentują, rozczarowują się, ale żal im rozejść się, w pewnej chwili przekonali się, że są do siebie przywiązani, że się nie mogą obejść bez siebie, ale może jeszcze wątpią, może u jednej strony decydującą jest tęsknota, u drugiej raczej obowiązek, może jedna strona daje całą siebie, a druga tylko część siebie, a może przyjdzie moment, kiedy się ten stosunek odwróci, i ten, co był obojętniejszy stanie się żarliwszym w tym stosunku i naodwrót—i w pewnej chwili spostrzegą się, że już czas ten stosunek nazwać „przyjaźnią", albo w stosunku między kobietą a mężczyzną, miłością: „Właściwie, my się kochamy", „my jesteśmy przyjaciółmi"... Ale czy i to jest już definitywne? Czy nie może jeszcze przyjść coś lepszego między nimi lub coś gorszego? I wogóle, który z tych związków tak nieprzeliczonych, ile tylko jest par przyjacielskich lub miłosnych i ile dni w życiu, jest akurat ową „Przyjaźnią", przyjaźnią w swym nibyto jedynie uprawnionym logicznie sensie tego słowa? Jest jakieś, mniej więcej wspólne ludziom marzenie o przyjaźni i miłości i ten tylko intencjonalny sens te słowa mogą mieć, sens tak ogólnikowy, że żadnych operacyj logicznych z nim nie można czynić, nawet wtedy, gdyby były zasadniczo uprawnione. A to byłoby wtedy, kiedy przyjaźń, względnie miłość byłyby całością, która wyznacza przyjaciół jako swoje części, gdyby stanąć na stanowisku idealizmu, ale idealizmu mitologicznego: Gdyby mianowicie na dwóch względnie dwoje, spadał jak sęp z nieba, nagle i niespodziewanie i równocześnie wzajemny szał sympatji

względnie upodobania i gdyby nimi dysponował całkowicie.

Napewno z takich właśnie przeżyć „romantycznej“ przyjaźni albo miłości zrodził się pomysł idealizmu, ale to jest, powtórzmy, nie logika tylko mitologja; jeżeli są takie (romantyczne!) doświadczenia serc, to wolno powiedzieć, ale tylko tyle: Niekiedy stosunek społeczny bywa całością idealną, jakby *a priori* daną, która określa i wyznacza swoje elementy, ludzi; ale to doświadczenie wyjątkowe nie może być podstawą żadnego systemu o aspiracjach do powszechnego obowiązywania. Dałoby się dalej snuć tę krytykę: Np. jak ktoś kogoś morduje, to ten stosunek też można nazwać „całością“ — formalnie jest to tyle co przyjaźń, ale cóż stąd wyniknie dla moralności? Nic! Zasada „całość idzie przed częścią“, nawet gdyby była uprawniona przy opisie stosunków ludzkich, ma znaczenie tak ogólne, że niema od niej żadnego logicznie koniecznego przejścia do moralności. Skoro tak, to wartość jej pragmatyczna jest żadna.

Tych kilka uwag zamierzało, przy sposobności, zakwestjonować mir „uniwersalizmu“ Spanna, — ale tylko jako teorji filozoficzno-moralnej, bo polityczne jego wskazania są zajmujące. Jednakże pomiędzy „*Kategorienlehre*“ i „*Gesellschaftslehre*“ a „*Der wahre Staat*“ niema pomostu żadnej konieczności logicznej. Moralność nie potrzebuje teorjopoznawczych ani logicznych systemów; przeciwnie, nie byłoby bezpieczne łączyć ją z systemami filozofji.

*

Skoro dany system myślenia jest jedyną drogą do moralności — (czego właśnie wszyscy niemal systematycy, z wyjątkiem... systematyków niesystematyczności, zaciekle się trzymają), — to oczywiście, o ile jeszcze nawrócony na system nie jestem, muszę czekać z moralnością i wogóle z praktyką życiową aż do chwili, w której zostanę przekonany; ale i to nie pomoże mi do moralności, bo przekonania teoretyczno-poznawcze jako takie nie mają nic wspólnego z moralnością — choćbym więc został już sylogizmami pokonany, to droga powrotna do moralności jest jeszcze bardzo niepewna i mogę nie wiem ile razy znaleźć taki kruczek, żeby zemknąć w haszcze przydrożne; a jak wogóle nie zostanę tem dowodzeniem przekonany albo dopiero na łożu śmierci (w danym razie) z nominalizmu — nawrócę się na realizm... To co mam robić, jak się prowadzić w ciągu całego życia? Czy wbrew Spannowi wątpiąc, iżby pojęcia ogólne były odpowiednikami bytu, owszem skłaniając się do przypuszczenia, że one są tylko znakami na zbiory konkretów, i że byt rzeczywisty jest tylko w elementach zbiorów — (o czem zresztą do tej pory nie mam definitywnego przekonania, tylko taka jest moja skłonność, ale jakoś żyję, i bodajże nie po łajdacku) — otóż pytam, czy z taką skłonnością nominalistyczną zwolniony będę przez realistę od życia moralnego aż do czasu, gdy przejdę na jego filozoficzną wiarę?

Absurd jawny; ale co wtedy zrobić z takim nominalistą? Im legalniej on będzie się prowadził, tem nieznośniejszym będzie dowodem, że nie będąc filozoficznym realistą względnie uniwersalistą, można być niemniej od niego moralnym. Systematyków to niepokoi, wobec tego najlepiej, żeby takich osobników wcale nie było... Słowem, każdy systematyk filozoficzny, który staje się prawodawcą i moralistą, pod togą ukrywa przygotowane na wszelki wypadek kajdanki...

Moralność potrzebuje myślenia, ale myślenie potrzebuje wolności; gdy zaś myślenie nie prowadzi do jednozgodnych rezultatów, a w każdym razie nie prowadzi do nich drogą tak krótką, aby jednostka mogła całą filozofję przemyśleć i mieć jeszcze na starość czas być wedle tej filozofji moralna, a zwłaszcza gdy myślenie filozoficzne nie jest dostępne olbrzymim masom, wielu zaś nawet wykształconych ludzi nie ma czasu, ochoty, ani talentu specjalizować się w zagadnieniach filozoficznych — przeto jasne jest, że moralność na czem innem się wspiera: na wychowaniu, na tradycji, na prostych i jasnych względach rozsądku, na wrodzonym charakterze — a między innemi także i na takich czy owakich teorjach filozoficznych, rozpylonych w charakterze epoki jako sugestje, spopularyzowanych jako „postawy“.

Moralność jest znacznie więcej irracjonalna, niźli racjonalna (co oczywiście nie oznacza potępienia intelektu). Wprawdzie obyczaj pragnie systemu, ale jeden obyczaj może mieć różne systemy i przy jednym systemie mogą być różne obyczaje.

*

Odrzucenie uniwersalizmu i pozostanie przy nominalizmie (który jest w pewnym sensie indywidualizmem filozoficznym) wcale nie wyklucza tego, że można zarazem być uniwersalistą w sensie religijno-mistycznym. Z tego, że Boga ktoś nie pojmuje wedle logiki „uniwersaljów“, wcale nie musi wynikać ani brak wiary w Boga, ani też zaprzeczenie jego nieskończonej wartości, ani też brak wiary w działanie Boskie na człowieka i t. p. Nominalizm nie wyklucza żywej religijności. Tylko że tu poddanie się woli Bożej nie jest przedstawione jako obowiązek „cząstki“ do ukorzenia się przed „całością“; ale wierzy się w konkretne działania Boskie na duszę, jako coś najlepszego ze wszystkiego, co może być, a skoro tak, to się idzie mężnie za temi działaniami; człowiek i tutaj też zlewa się z wyższym światem, i staje się jego częścią, więc nie czuje się samotnym we wszechświecie — ale wcale go nie obchodzi żadna logiczna całość i logiczny stosunek podporządkowania części wobec owej całości; całkiem poprostu zależy mu tylko na solidarności serca z czemś najlepszem, czego najlepszy smak już przeczuł, rozlewając się w tem dobrem, co zresztą tylko wybrańcom danem jest doznać! Czuje się wprawdzie ogarniętym przez jakąś „całość“, ale, ściślej mówiąc, to nie jest żadna „całość“, tylko „bezpieczeństwo“ i t. p. terminy, nie logiczne, ale psychologiczne są tu do użycia.

Nie potrzeba zresztą być świętym mistykiem, albo z dzieł mistyków czerpać, ażeby tak na ten temat rezonować. Przeżycie estetyczne, zwłaszcza przyrody, już daje o tem niejakie pojęcie. Autorowi tych linijek opowiadał jeden znajomy, że jako chłopiec raz albo parę razy doznał „na łonie przyrody“ czegoś niby w rodzaju „zachwycenia“: jakiś staw, południe letnie, zapach tataraków i wilgoci, kosaćce, panny wodne, od czasu do czasu żaba pluśnie — i nagle chłopak obudził się: ale nie ze snu, bo nie spał, czuwał, lecz z jakiegoś błogiego szczęścia, które może trwało króciut-

ko, ale chłopcu zdało się jakby długie jakieś godziny prześnił na jawie (zresztą czasu się nie liczy w takich zdarzeniach), godziny, w których się wcale o sobie nie pamiętało, nie miało się żadnych własnych spraw w świadomości, tylko się „coś" widziało, „coś" słyszało i „coś" czuło, błogosławione bytowanie w słońcu, w cieniach zarośli, w wilgotnej woni stawu, bytowanie owada, żaby, kosaćca, wody, chmurki białej na niebie, rajską błogość wszystkiego... To jest niewątpliwie przeżycie „uniwersalne", w sensie estetyczno-przyrodowym, ale gdzie tam chłopcu w głowie jaka logika była! Logika w tych sprawach i podobnych jest tylko doczepką scholastycznych doktorów, uniwersalistów — mniemających, że jeśli coś nie jest logicznie uzasadnione, to już nie ma należytej powagi. Uniwersalne przeżycie estetyczne — (a odmian będzie tu wiele, np. erotyka ma tu też bardzo obfity swój dział)— jest niewątpliwie mdłym obrazem przeżycia mistycznego, a to chyba przeczuciem Raju?... Jeśli raj jest szczytem „uniwersalizmu", bo „raj" znaczy tyle, co zenity kosmiczne owej błogości, jaką daje miłość, to piekło jest nadirem „indywidualizmu".

Przeczuciem piekła są te straszne momenty, kiedy człowiek czuje się śmiertelnie samotny wśród ludzi, obcy światu, obcy historji, obcy także przyrodzie, co spogląda nań obliczem posępnem i niesamowitem, i kiedy w jakiejś przeraźliwej jasności nawiedza duszę przekonanie, że w takim świecie, bezdusznym i bezsensownym, w świecie, który jest kosmiczną, potworną stertą osobnych, mechanicznie pozazębianych, ale niczem od wewnątrz niezespolonych rzeczy, żadnego wyższego i opatrznego życia osobistego być nie może, a samemu jest się tylko nieskończenie opuszczoną i nieskończenie bezsilną mrówką, która przez chwilę tuła się i błąka po tym świecie, ale niedługo sama ulegnie rozkładowi, na rzeczy zgniłe i cuchnące, i już będzie śmierć. W przeciwieństwie do uczuć uniwersalnych, które człowieka łączą związkiem wzajemnej przyjaźni z ludźmi, estetycznie z przyrodą, człowiekowi w jakiś sposób podobną, a w przeżyciach religijnych każą mu wierzyć w solidarny z nim Nadświat, to uczucie samotności wśród świata w niczem człowiekowi niepodobnego— jest indywidualizmem: Niema nic, coby człowieka ze światem stapiało w jakąś jedność, boć wogóle żadnej jedności rzeczy niema tam, gdzie są same tylko rzeczy. Piekło to absolutny indywidualizm; w rzeczywistości piekielnej jest absolutnie pewne, że się jest absolutnie samotnym, sam na sam z rzeczami; jeśliby zaś zdawało się, że są inne dusze, to nie jest to prawdą, to są także tylko rzeczy, zaś rzeczy to—absolutny rozkład życia: martwota.

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

DWIE RELACJE O CHEDERACH

ŻEBY ROZUMIEĆ psychikę i mentalność żyda, należałoby zacząć od zbadania podstaw, z których wyrasta i z których soki przez całe życie czerpie umysł żydowski. Taką „jaczejką" (że użyjemy wyrazu tak właśnie przez żydów rosyjskich rozniesionego po świecie), takim fundamentem, na którym opiera żyd przez całe życie swój światopogląd i swoje nawyki, jest szkoła początkowa, a raczej parodja szkoły, zwana chederem. Smutną ma ona w świecie sławę. Tytuł „pedagoga", który nią kieruje, *mełamed* albo *belfer*, jest z dawien dawna synonimem gorszego typu nauczyciela (już Słowacki w tem znaczeniu używa tego wyrazu). Sam zresztą wyraz cheder jest w potocznym języku polskim od lat już kilkudziesięciu synonimem bałaganu, hałasu, zgiełku.

Co w takim „przybytku wiedzy" jest przedmiotem „nauki"? Nic innego tylko Talmud, bo wszak, jako rzecze Samson Raf Hirsch, „Talmud jest jedynem źródłem, z którego żydostwo wypłynęło, jest gruntem, na którym żydostwo istnieje, i jest duszą żywiącą, która żydostwo kształtuje i utrzymuje". Jak zaś „kształtuje" (nie: kształci) tę duszę, wykazał Andrzej Niemojewski w swem źródłowem dziele „Dusza żydowska w zwierciadle Talmudu", które wartoby zalecić na lekturę tym, co żyjąc w sojuszu z żydami, bają jednocześnie o humanitaryzmie, o „przesądach atysemityzmu" etc. Otóż ów Talmud—to nic innego tylko wielki kanon „antygoizmu", przepisy, jak w życiu praktykować owo *odium generis humani*, o którem opowiadał jeszcze przed wiekami Tacyt. Tego Talmudu — jak stwierdziła niedawno p. W. Melcer w reportażu na łamach żydowskich „Wiadomości Literackich" — uczą się 5—7 letnie żydzięta, wykuwając jego teksty na pamięć, choć jako niewciągnięte jeszcze w język hebrajski nie rozumieją z nich początkowo ani słowa. I czegóż to się tam uczą te żydzięta? Ano tego, że żydowi goja wolno oszukać, wolno okraść (z zastrzeżeniem: „byle nie zmiarkował"), zamordować bezkarnie, sprzedać w niewolę, zdradzić etc. Uczą się tego „kodeksu złodziejskiego" i praktykują go później. I gdy u nas konfiskuje się niewinną nieraz wzmiankę dziennikarską, „zagrażającą spokojowi publicznemu", nie konfiskuje się Talmudu, który głosi, że można działać na szkodę państwa i jego obywateli, że wolno popełniać najgorsze łotrostwa. I gdy zamyka się lokal niemiłego komuś stronnictwa „ze względów hygjenicznych" czy politycznych, nie zamyka się chederów, gdzie prowadzi się akcję przeciw kodeksowi karnemu Rzeczypospolitej i podżega się ludność żydowską przeciw gojom. Zwalcza się antysemityzm, a kultywuje antygoizm...

A przecież owe względy hygjeniczne".... Wszak z chederów płynie zaraza nietylko moralna, ale i taka, jaka była w Grenadzie — powiedzmy trafniej: w Egipcie, skąd kulturalni Faraonowie wygnali nakoniec parszywe żydostwo. Dlatego to w wiekach średnich izolowano żydów w *ghettach*, że od nich szły te wszystkie epidemje „czarnej śmierci", dżumy, trądu i cholery. Dziś jeszcze istniejące po miastach dzielnice żydowskie dają zdaleka o sobie znać swym fetorem. Nic też dziwnego, że mało kto zdobywa się na odwagę, by wejść do wnętrza domów żydowskich. Na taką odwagę zdobyła się p. Melcer — i weszła tam, gdzie przecież już uczucie ludzkości, jeżeli nie kultury,

nakazuje najściślejsze przestrzeganie zasad hygjeny: do przedszkoli i szkoły dla najmłodszych — do owego właśnie chederu. I cóż tam zobaczyła?

„Po ciemnych i z reguły brudnych schodach wchodzę na trzecie piętro... Weszłam do klasy, do małego, jednookiennego pokoiku, gdzie wzdłuż stoją ławki, a w ławkach siedzą stłoczone dzieci, gdzie jest ciasno i brudno, zimno a jednocześnie nieprawdopodobnie duszno, gdzie, co tu długo gadać, poprostu śmierdzi... Ściany są tak wilgotne, że woda po nich ścieka. W kącie nieszczelnie zamknięta ubikacja, z której biją przerażające wonie, a zaraz obok kran z kubkiem do wody, który ignorują uczniowie, czerpiąc wodę ustami wprost z metalowej rury... Czapki na głowach, rojących się od wszy, zasmarkane nosy... i ta melodja wyzywająca i smutna, która unosi się i trwa nad ich głowami, jak dziwaczne jakieś przekleństwo, z którego nie zdążyli jeszcze ani słowa zrozumieć".

Tak wyglądają te „szkoły" w stolicy. Na prowincji jest jeszcze gorzej: „dzieci siedzą przez cały dzień zamknięte w ciasnej i smrodliwej izbie, w której mełamed śpi w nocy z żoną, gdzie w łóżku leży kilkoro często chorych dzieci, a na kuchni smażą się śledzie i gotuje się kapusta, wyziewając niesamowite odory".

Już to wszystko jest potworne. W rzekomo „ciemnem" średniowieczu nie było u chrześcijan podobnego barbarzyństwa. Te szkoły klasztorne, z których tak drwić sobie lubią niezbyt w historji tędzy żydzi, przechowały nam skarby kultury, budzące podziw i dzisiaj: dały nam piękne księgi, ilustracje, stworzyły teorję muzyki, wydały wspaniałą literaturę hymniczną, filozoficzną i matematyczną, uprawę ziół lekarskich i jarzyn, uratowały od zagłady dzieła Greków i Rzymian. To było tysiąc lat temu... A w XX wieku cóż dają światu szkoły żydowskie? Ciemnotę, zabobon, nienawiść do gojów, czczą i oschłą formalistykę talmudyczną, idjotyzmy kabalistyczne, a pozatem cholerę, dżumę, tyfus, gruźlicę. To sieją w świecie te szkoły: zarazki bakteryj, a nie zioła lekarskie i jarzynowe witaminy. Nie światło dają, lecz obskurantyzm. Nie uczą, jak z kwiatów dobywać wonne olejki. Produkują tylko smród, smród i jeszcze raz smród!

Jeszczeby dużo można opowiadać o tem, co się dzieje w chederach. Kto bywał w małych miasteczkach i widział więcej, niż widzieć mogła p. Melcer, wie, że najczęstszą metodą wychowawczą jest tam bicie dzieci rzemieniem do krwi za każdą omyłkę w talmudycznych tekstach. Dlatego to, gdy dorośli żydzi płaczą tylko raz do roku w sądny dzień, żydzięta płaczą codzień w chederze. Tam jest codziennie sądny dzień. Ileż to razy widuje się w małych miasteczkach mełamedów, wykonywających swoją rzemienną funkcję „pedagogiczną" nawet poza murami chederu!

O tym „kańczugu kilkurzemiennym" piszą nawet p.p. Mejcher Tauber i Jerzy Wajngarten, autorowie „obrazków obyczajowych" p. t. „Żydzi", zamieszczonych w pożytecznej skądinąd, lwowskiej „Bibljotece Szkoły Powszechnej". Mówię „skądinąd", bo książeczka wspomnianych autorów jest w tej „Bibljotece" przykrym wyjątkiem. Nie udała się pod żadnym względem. Ani co do stylu, ani co do swego ujęcia, ani co do rzetelności faktów. Styl jest nieudolny, choć pretensjonalny w swej „literackości", przypominający kucharkę, która koniecznie chce napisać list „po pańsku" i raz po raz wtrąca jakieś wyrazy książkowe, dalekie od mowy codziennej. Ujęcie naiwne, bardziej jeszcze naiwne, niż być mogło za czasów ś. p. Niemcewicewicza, gdy ów pisał swą sentymentalną powiastkę o „Lejbie i Siorze". Wogóle jest u nas przekonanie, że o żydach trzeba pisać tylko sentymentalnie. Tak pisze t. zw. „Janusz Korczak", tak pisze Kuncewiczowa. Gdy mowa o chłopie polskim, o polskim szlagonie czy mieszczuchu, to obowiązuje „realizm", „nowy realizm", brutalizm, karykaturyzm, naturalizm, grubianizm; o żydzie wolno pisać tylko stylem sielanek Karpińskiego: ckliwie, cmokliwie, rzewliwie, tkliwie, pieszczotliwie, dobrotliwie. Wszystko w tym świecie żydowskim jest piękne, idealne, bez skazy. To też w czasie lektury tej książeczki, tak spreparowanej, raz po raz czytelnik ziewa z nudy.

Ale niezawsze. Czasem można się szczerze ubawić. Oto np. takiem opowiadaniem o majówce żydziaków pod wodzą mełameda do lasu:

„Nagle czoło gromady drgnęło i zatrzymało się. Duży biały pies dobiegł do otwartej furtki i zawarczał. Strach ogarnął wszystkich. Wtem wystąpił z gromady Josełe, chłopiec mądry i odważny... i wypowiedział niezawodne zaklęcie:

> Psie, psie!
> nie gryź mnie!
> Ja jestem synem Abrahama —
> ty potomkiem Balaama".

Te „cudowne" wiersze, które w owym Josełesie zapowiadały przyszłego Wittlina, „Napierskiego" lub innego równego „wieszcza", miały ten skutek, że pies „machnął przyjaźnie ogonem" i na żydów i na taką poezję i „usunął się". Powinien był jeszcze przyjaźnie — podnieść nogę.

Opowieść ta, choć trąci reminiscencjami ze słynnego żartu Słowackiego „Czy to pies czy to bies", jest w całej tej książeczce jedynem prawdopodobnem zdarzeniem. Reszta — to „historje z nieprawdziwego zdarzenia". Oto dzieci żydowskie z „radością" śpieszą do chederu, bo im tam mełamed takie cudowne i zajmujące rzeczy opowiada; chederek ten jest czyściutko wymyty, ma dużo miłego słoneczka i powietrza, białe ściany — słowem, raj na ziemi. „Jakże piękny jest dziś cheder!"

Nie wiem, czego się w tym chederze nauczyli pp. Tauber z Wajngartenem; to pewna jednak, że o historji polskiej słabe mają pojęcie, może takie właśnie, jak ich rodaczka p. Szenbrennerówna, autorka osławionego podręcznika. Oto co czytamy w rozdziale „Pierwsze prawa żydów w Polsce": „Gdy żydzi osiedlili się w większej liczbie w Polsce, wzięli ich królowie pod swoją opiekę i nadawali im różne prawa... Żydzi byli za to królom bardzo wdzięczni i przyczynili się do świetnego rozwoju miast polskich. Pobudowali domy w miastach, zakładali sklepy i zaopatrywali chłopów w ubrania, obuwie, cukier, naftę, narzędzia rolnicze, wogóle we wszystko, co było chłopom potrzebne... Zgodne współżycie panowało między żydami a chłopami, bo wzajemnie sobie pomagali"...

To wszystko miało być w czasach przedrozbiorowych, więc za Piastów i Jagiellonów, za królów elekcyjnych... Jak widzimy, cukier krzepił Polaków już za czasów Esterki, a nafta oświecała już za króla Olbrachta i za króla Sasa te same chaty chłopskie, które dziś, w XX wieku, oświetla się łuczywem! A więc to fałsz, że pierwszą lampę naftową kilkadziesiąt lat temu dopiero wynalazł Łukaszewicz, nieprawda, że pierwsze transporty trzciny cukrowej zawitały do Europy dopiero po

odkryciu Ameryki, a pierwsze cukrownie polskie nie są starsze od wielu dziś jeszcze żyjących ludzi?... Więc to nieprawda, że miasta polskie upadły już w XVII w. i dopiero niektóre z nich, jak Poznań, podniosły się z tego upadku w w. XIX — właśnie dzięki pozbyciu się żydów? Więc to nieprawda, że „kmiotuszek" polski, jak go Klonowicz nazywa, cierpiał wszelką nędzę, głód i poniewierkę przez całe trzy wieki? Według pp. Taubera i Wajngartena raj był we wsi polskiej, dzięki żydom, bo ci zaopatrywali chłopa we wszystkie potrzeby! Niestety, było zgoła inaczej! Dokumenty mówią, że żydzi łupili chłopa, ile wlezie. Dlatego to chłopi kresowi za Chmielnickiego rznęli masowo żydów, mszcząc się za swe krzywdy. Dlatego to samo czynili ci chłopi, którzy poszli do buntu pod wodzą Kostki Napierskiego. Naprawdę, niewłaściwy pseudonim, od takiego Hamana, co żydów bijał i wieszał, wziął sobie „Stefan Napierski".

Jak żydzi „pomagali" chłopom polskim, o tem też mówią dokumenty dziejowe. Pierwszy historyczny i notoryczny judofil w Polsce, złej pamięci Mieszko III Stary, sprzedawał żydom chłopów polskich w niewolę; pisali o tem i historycy (Szajnocha, Smolka i in.), jak to chłop polski szedł, jako żywy towar, jako *sclavi* na rynki andaluzyjskie, afrykańskie, bizantyjskie, tak jak dziś do Argentyny... Ten handel istniał i dawniej, od czasów Ibrahima, który tyle głupstw naplótł o Polsce. Osławione są bajędy żydowskie o „królu polskim" Abrahamie Prochowniku, który miał przechytrzyć chytrego Lestka i zdobyć władzę w Polsce. Do tych bajęd godnie dołącza się bajęda Taubera czy Wajngartena o tymże Leszku, który rzekomo tak grzecznie zapraszał żydów do osiedlenia się w Polsce.

Jedno tylko zdanie w całej tej książeczce jest prawdziwe: „żydom było dobrze w Polsce, lepiej niż w jakiemkolwiek innem państwie, więc coraz więcej żydów osiedlało się w Polsce i dotychczas w wielkiej ilości tam mieszkają".

Tylko należałoby dodać: nigdy nie powodziło się im tak, jak obecnie, dlatego osiedla się ich jeszcze więcej, niż dawniej. Za przytułek i życzliwość, jakiej w Polsce doznali, odwdzięczyli się szpiegowaniem na rzecz wrogów Polski, szkalowaniem Polski przed światem, lichwą, zdzierstwem, a ostatniemi czasy szerzoną na wielką skalę deprawacją moralną.

FEL. LACH

LUTNIA ZIEMIEŃSKA

Włodzimierzowi Sylwestrowiczowi poświęcam

...nie tylko moja cząstka ziemieńska,
ale i lutnia...
Kochanowski

POD LIPY

Baśka opełła grzędę, zwija się z robotą,
dała Bartkowi szczutka, po wodę gna z cebrem.
— W słońce leci z sąsieka rozpylone złoto!
...A popod lipy strumień położył się srebrem.

Sfory umknąwszy, ogar węszył wśród konopi.
Teraz łeb między nogi i polokiem drzemie.
— Niechaj Baśka te malwy i kwiatki pokropi.
Zdałby się deszcz. Uf! Latoś jeno praży ziemię.

Południe. Trzmiel, włóczęga, aksamitnie buczy.
Ot, drzewa, lipcem wonnym prószą do ogrodu.
— Bartek, ostawisz Baśkę!? Szukaj, ośle, kluczy
i z loszku, byle żywo, przynieśno mi miodu.

W POLU

Tam, w cichej dali, kmiecie podobni do łątek.
Tu gra owad, zaś tutaj derkacz krzyczy w polu.
— Miedza. Na miedzy wierzba. Z wierzby patrzy świątek
w jarą kipiel jęczmienia, maków i kąkolu...

Patrzajże i ty, człecze! Łan, nie łan, lecz życie:
kłosy — chwile, wyrosłe w trud, we łzy, w uśmiechy,
kąkol — złe myśli, chabry — w pobożnym zachwycie
i maki — płoną, niebu naprzekór, jak grzechy.

Przyjdzie czas, sierp zadzwoni. Upadnie pokotem
jara kipiel, i kąkol, i chabry z makami. —
...I dokona się żniwo. A potem? a potem? — :
Powiedz, świątku, co nocą rozmawiasz z gwiazdami.

DOMA

Lubom zjeździł, mospanie, owe cudne kraje,
owe raje, cheruba zasiane rękoma,
lubom znał świat szumniejszy i gładsze zwyczaje,
co mi tam! Wszędziem tęsknił! Bo najlepiej doma.

Człek, jeśli marny, poszedł i obce ma bogi,
człek, jeśli czczy, u obcych i serce zastawi.
— Dobry koń rży z ochoty, kiedy wraca z drogi
i aż zza morza lecą te klucze żórawi!

Płyń ku mnie, ziemio jedna, płyńże czarną rolą,
złoć się dla mnie o świcie i srebrniej wieczorem,
pachnij strzechą ze słomy, brzozą i topolą,
i graj łąką, burzanem, i łanem, i borem!

...PADA JABŁKO

Wstyd, Jędrek! Chłop, jak dęby, popod niebo sterczy!
Cóżeś wyszczerzył zęby, wybałuszył ślipie!
No, Parysie: tu bizun, tu grzeczny kobierczyk.
Własną ojcowską ręką plagi waści wsypię.

Za co!? Moiście, nie wie! Pani matka płacze:
kto w sąsieku, kto w gumnie od pracy nie stroni,
kto żniwa dojrzeć w pole na podjezdku skacze,
a nasz pan syn, ni turek, za dziewkami goni!

Nie igraszki niewinne, jeno gzy, gzy, jucho!
Nieumyślnie!? Tak jakoś!? Mówisz, sama chciała!?
— Do djabła! Nikt nie słyszy? Bliżej! dawaj ucho:
...rozumiem... byle tylko jejmość nie widziała!

JANUSZ KAWECKI

NA WIDOWNI

Walka narodów o niepodległość duchową. — Dramaty jaźni narodowej. — Żydzi, jako ciało obce. — Cywilizacja europejska wyrzuca z siebie wszystko, czem ją żydzi obdarzyli.

W OCZACH naszych dzieją się rzeczy, pełne dramatycznego napięcia. Dopiero teraz umiera na dobre to, co tak niedawno jeszcze zdawało się być wiecznem. Umiera świat, poczęty w wielkiej Rewolucji francuskiej, skalkulowany liberalnie na rozrost jednostki ludzkiej; rodzi się nowy, oparty na indywidualnościach narodowych. Nastała epoka restauracji narodów: odradzają się w swej świadomości i dążą do zdobycia już nietylko granic należytych dla swych państw, ale do prawdziwej niepodległości psychicznej i moralnej. Wypadki w Niemczech w dniu 30 czerwca są ilustracją, jedną z wielu, tego dramatycznego procesu.

Zbyt wiele mówi się z tej racji o „rasizmie". Zwłaszcza żydzi zbyt wielki kładą na niego nacisk. Nie tyle antropologja wchodzi tutaj w grę, ile konieczności cywilizacyjne natury psychicznej. Żydzi wszędzie w krajach cywilizacji europejskiej padną ofiarą tego procesu, bo są w tej cywilizacji ciałem obcem, istota zaś odrodzenia narodów leży w dążeniu do odzyskania swej osobowości. Odbywa się — powiedzieć można — wyścig narodów o to, który z nich gruntowniej i szybciej odzyska swoje ja, swoją myśl narodową i niepodległość. Czy my, Polacy, mamy jakie szanse w tym wyścigu?

Każdy z nas uczuwał niewątpliwie niepokój umysłowy, ilekroć spotykał się ze zdaniem, kategorycznie pomawiającem Polaków o pewne braki duchowe, które jakoby skazują ich na stałe upośledzenie w oczach rodziny europejskiej. Czy to może być, aby naród pod tylu względami uzdolniony, nie mógł się zdobyć np. na solidarność, poczucie rzeczywistości, na uporządkowaną, systematyczną pracę, na wytrwałość i samodzielność? W polskiej publicystyce postępowej przed kilkudziesięciu laty nuta przeświadczeń co do tego brzmiała stale pesymistycznie. Tak mało mieliśmy wprawy w zagłębianiu się w siebie swoją świadomością, że używaliśmy do tej operacji cudzego mózgu. Zachodziły pomyłki co do jaźni: trzeba przyznać, że myśleliśmy przez całe długie okresy mózgiem żydów.

Pierwszym aktem myślenia narodu o sobie winno być rozróżnianie, co jest Ja, a co nie Ja. Gdy myśl publicystyczna pod tym względem jest niepewna, to naród zachowuje się niesamowicie, jakby niespełna był rozumu. Przedewszystkiem nie wie, co o sobie sądzić, daje sobie wiele wmówić, co gorsza, nie jest sobie wierny w postępowaniu.

Poczytalność narodowa polega przedewszystkiem na tem, aby naród myślał s w o i m m ó z g i e m. Skłonni jesteśmy zapożyczać się w cudzem środowisku. Umysł polski, zwłaszcza w wieku XIX łatwo wpadał w cudze tempo, ani spostrzegając, kiedy zaczynał myśleć w sposób różny od narodowego. Jeśli mu to zdarzało się w środowisku, wyżej posuniętem w kulturze europejskiej, łatwiej to spostrzeże i łatwiej do rodzimości powróci, bo sprawa tyczyć będzie tylko odmienności przyzwyczajeń zewnętrznych, choćby odmienności językowej; powrót do właściwego typu będzie kwestją zorjentowania się, zmiany miejsca lub kwestją czasu. Typ, w który się wcielił, jest ten sam, bardziej może wypracowany, zbogacony doświadczeniami, wiedzą, rutyną, ale ten sam w metodzie myślenia i postępowania.

Cięższa jest sprawa, gdy duch opuszcza się na niższy poziom, gdy zasymiluje się z typem, będącym w dawniejszej formacji socjologicznej, opóźnionej historycznie. Lepiej jest, gdy dusza wyprzedza historycznie cywilizację swojego narodu, niż gdy mitręży w tem znaczeniu, że wciela się w cywilizację niżej poziomu swego narodu. Bo wtedy nietylko nie wie, co do niej naród własny mówi, ale nie jest z d o l n a go zrozumieć i m e t o d ę myślenia ma odmienną.

Pierwsze zadanie świadomości narodowej — wiedzieć, do jakiego typu cywilizacji narodowej naród mój należy, jakie okresy przebył i w jaki wszedł. Liczyć zaś trzeba stopień dojrzałości narodu nie według tego, gdzie awangardy narodowe dotarły, ale według ludu — według tego, gdzie już jest cała armja narodu. Okresy liczą się według przeobrażeń ludu, skąd naród czerpie faktyczną możność i dążenia zasadnicze. Choćby warstwy górne i t. zw. inteligencja dziesięć marszów historycznych dokonały, gdy masy o tem nie wiedzą, naród okresu swojego nie przebył.

Gorsze bywają wynarodowienia, niż zatrata mowy ojczystej, mianowicie takie, które polegają na zatraceniu typu kultury, właściwej narodowi. Człowiek obcy duchowi ludu, choćby mówił po polsku, jest w pewnym stopniu wynarodowiony. Wynarodowili się tak u nas ludzie, nie wyjeżdżając z kraju, gdy zawierzali się w myśleniu mózgowi żydów. Mózg wschodni żydów jest z odmiennej formacji a przytem w żadnem pokrewieństwie z naszą duchowością nie pozostaje.

Rozwój duchowości żydów urwał się gdzieś daleko za progiem cywilizacji europejskiej, na tym stopniu niedokończenia zasechł i w Europie jest paradoksem. Każdy stopień cywilizacji jest do przebyci, jeśli naród chwyci odpowiednią drogę i nie podda się rozkładowi. Fizyczne jego części oczywiście zostaną, ale duch karykaturuje się, tracąc budowę narodową; nie może być wszechstronnie twórczym i zasycha koło pewnych instytucyj i funkcyj w coś bardzo jednostronnego, co już w żadnych warunkach nie może odżyć w pełnię cywilizacji.

Naród, który przepuści swój moment rozwojowy, albo ginie całkowicie (historja zapisuje go do umarłych), albo żyje w cząstkowym narządzie, jak żydzi; żadna cywilizacja nie może go strawić, w każdej on będzie przeszkodą, w każdej będzie ciałem obcem.

Rozwiązanie sprawy żydowskiej, wbrew temu, za co ją na rynku politycznym sprzedają, jest już dzisiaj koniecznością dziejową. Anachronizmem godnym pożałowania są politycy, którzy wierzą jeszcze w możliwość robienia historji przy pomocy żydów — wbrew żywym prądom.

Jeden był tylko sposób zapobieżenia, aby kwestja żydowska nie wypłynęła w Polsce na porządek dzienny, ten mianowicie, żeby Polacy zatrzymali się w rozwoju narodowym. Wtedy byłby spokój, ale spokój cmentarza. Życie nie boi się zagadnień. Nie wyrzekamy się ognia dlatego, że

dymi. Dym — to jest „kwestja". Kto jej nie rozwiąże, mieszka w kurnej chacie; przyjdzie czas na komin, który kwestję rozwiąże. Ogień jest prawdą życia — życiem samem.

Jest jedna kwestja dla nas istotna, to kwestja świadomości polskiej, przejrzenia wewnętrznego, zorganizowania samowiedzy narodowej. Nie było kwestji żydowskiej, póki stosunki, nawet niezdrowe, ograniczały się sferą ekonomiczną; wyszła na jaw, gdy Polacy poczuli żydów w swojem centrum mózgowem. Pierwsze odruchy zaznaczyły się na polu literackiem. A tego rodzaju odruchy mogą być nawet konwulsyjne.

Chodzi o to, że w tym okresie rozwoju nie możemy pozwolić nikomu myśleć za siebie. Jest to okres przebudzenia narodowego, czujności i organizowania się wewnętrznego. Nie da się pomyśleć dwu ciał fizycznych na jednem miejscu, ani duszy twórczej, posiłkującej się cudzą samowiedzą.

Żydzi weszli we współżycie z nami jako profesja handlowa, właśnie dlatego, że nie byli narodem całkowitym. Weszli na zasadzie kontrastu z kulturą naszego ducha; mieli zmysł handlowy, na którym nam zbywało. Ale gdy organizm narodowy wypełnia się, coraz mniej miejsca pozostaje dla życia obcego. Życie samo w Polsce stało się antysemickie; filosemickiem mogłoby się stać tylko samobójstwo. Rzeczą polityków jest sytuację taką zrozumieć.

Najcięższy okres polskiej niepoczytalności był wtedy, gdy oświeceni Polacy, nie mogąc utrafić w świadomość narodową, wpadali w świadomość żydowską. Specjalna indywidualność umysłu obcego bardziej imponowała im, niż wszechstronna, ale nie wyrafinowana umysłowość plemienia własnego. Nie mając jeszcze potrzeby orjentowania się wewnętrznego co do typu swojej cywilizacji, złudzeni pozorami postępowości jednostronnych umysłów żydowskich, z zaufaniem powierzyli im swoją edukację humanistyczną.

W ostatnich latach kilkudziesięciu społeczeństwo polskie miało do pokonywania w rozwoju swojej samowiedzy wielką przeszkodę wewnętrzną, mianowicie zżydzenie inteligencji. Umysły w tej sferze wskutek tego niszczącego wpływu odcięte zostały od swoich instynktów narodowych i zgadywały sprawę narodową tak spekulatywnie, jak to może czynić tylko umysł obcy, pozbawiony przytem zmysłu politycznego. Stawał się przeto umysł nasz niepoczytalnym w sprawach dla zdrowego rozsądku prostych i jasnych i ofiarą najrozmaitszych podstępów, których nie rozpoznawał. Przed dwoma tygodniami miałem sposobność opisania na tem miejscu, jaki był stan przed wojną naszej poczytalności narodowej w Galicji.

Pod tym wpływem inteligencja traciła wiarę w siły narodu, wzmagając w sobie jednocześnie również wschodnie, egzaltowane upodobanie w słowach i symbolizmie. Tak się składało, że każdy kierunek polityczny bywał dla niej dobry, byle nie ten, który realnie traktuje interesy narodowe i sprawę samodzielności narodu. Do tego dołącza się walka o byt materjalny, niesłychanie potęgująca poczucie samozachowawcze narodu. W rewolucji jednak, która dzisiaj wstrząsa narodami, głównym czynnikiem antysemityzmu jest odraza duchowa.

W życiu narodowem, które można nazwać wielką gospodarką, największem bogactwem jest dusza obywatela, na której naród wspiera swoją egzystencję. Gdy mowa o „samostarczalności" narodowej, to przedewszystkiem o tem bogactwie, o tem polu gospodarczem trzeba myśleć. Naród, który sobie duchowo starczyć nie może, niema najgłówniejszego warunku egzystencji. Wszystko może strawić: cudzą pracę, cudze kapitały, ale jeśli cudza jaźń do jego centrów mózgowych się dostanie i zacznie mylić mu świadomość i ruchy, wtedy naród staje się niepoczytalny.

Pierwszym warunkiem jest samostarczalność duchowa. Nazywa się ona poprostu samodzielnością.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

WIADOMOŚCI DZIENNIKARSKIE O OSTATNICH WYDARZENIACH W NIEMCZECH są tak ułamkowe, pobieżne a częstokroć tendencyjnie fałszowane, iż zgoła niełatwo nakreślić na ich podstawie jasny i odpowiadający rzeczywistości obraz położenia. Uderza przedewszystkiem niemieckie iście okrucieństwo, z jakiem dzisiejsi kierownicy Rzeszy rozprawili się ze swymi przeciwnikami, z drugiej strony skład osobisty przywódców pokonanej opozycji pozwala — w pewnej mierze przynajmniej — wytworzyć sobie pojęcie o charakterze i celach udaremnionego przez Hitlera zamachu stanu.

W szczególności zwraca tu uwagę postać b. ministra wojny, gen. Schleichera, ostatniego przed przewrotem hitlerowskim kanclerza Niemiec. Rządy jego ówczesne cieszyły się nieukrywaną sympatją kół żydowsko-wolnomularskich w Rzeszy i poza jej granicami: widziano w nim jedyną ochronę, jedyną zaporę, zabezpieczającą przed opanowaniem władzy przez ruch narodowo-socjalistyczny. Koła owe zdawały sobie sprawę z żywiołowej potęgi prądu nacjonalistycznego w Niemczech powojennych, rozumiały, iż nie przeciwstawi mu się w sposób skuteczny ani liberalizm typu masońskiego, ani komunizm, a wobec tego ostatnią swoją nadzieję położyły w zwycięstwie kierunku najjaskrawiej choćby „nacjonalistycznego", militarystycznego, odwetowego, byle tylko nie... antysemickiego... Taki „nacjonalizm" Schleicherów, Pabstów[1]) czy bodaj Treviranusów, pchałby Rzeszę Niemiecką do natychmiastowej wojny zewnętrznej, do ataku na Pomorze, odwracając uwagę społeczeństwa od kwestyj wewnętrznych, przedewszystkiem od sprawy żydowskiej, podczas kiedy podjęta przez Hitlera, na wielką skalę zakrojona akcja odżydzenia Niemiec, z konieczności zmusza go do położenia głównego nacisku na to właśnie zagadnienie, a tem samem dążenia do bardziej pokojowych stosunków z narodami ościennemi.

Znamienny jest również fakt, który można było zauważyć zarówno u nas, jak i w innych

[1]) Aresztowany obecnie kpt. Pabst był w r. 1920 jednym z przywódców słynnego, nieudanego zamachu stanu, zorganizowanego przez koła militarno-prawicowe, pod kierownictwem Kappa. W owym „zamachu stanu" niemałą rolę odgrywali nawet najobskurniejsi żydzi, jak o tem świadczą chociażby, tłumaczone też na język polski pamiętniki głośnego awanturnika żydowskiego, J. T. Trebitsch-Lincolna.

krajach europejskich, że w przeciągu ostatnich kilku tygodni cała prasa, pozostająca pod wpływami żydowskiemi, „robiła nastrój", szeroko rozpisując się o trudnościach, piętrzących się przed rządami Hitlera i zapowiadając rychłe, głęboko sięgające zmiany w stosunkach politycznych Trzeciej Rzeszy.

Wreszcie o jednej jeszcze stronie zagadnienia nie należy — w związku z ostatniemi wypadkami — zapominać. Publicysta angielski Wyndham Lewis, pisząc przed paru laty książkę o hitleryzmie („Hitler" by Wyndham Lewis, London, Chatto & Windus, 1931) zwrócił uwagę na to, iż w przeciwieństwie do zwolenników „*Action Française*", drących demonstracyjnie pornograficzne wydawnictwa na bulwarach paryskich, w przeciwieństwie do faszyzmu, surowemi represjami karzącego wszelkie objawy nieobyczajności, niemieccy narodowi socjaliści „mieli ważniejsze sprawy na głowie" i w tej dziedzinie okazywali daleko posuniętą pobłażliwość. Zgóry można było przewidywać, że taka postawa psychiczna narazi jeszcze kiedyś ruch hitlerowski na poważne kłopoty i kryzysy. Okoliczności, w jakich aresztowano paru kierowników oddziałów szturmowych, jak również ogłoszony tegoż dnia rozkaz Hitlera zdają się świadczyć, że i w tym względzie hitleryzm zamierza obecnie przystąpić do reformy, stawiając sobie nowe, trudne zadania wewnętrzne w zakresie przebudowy obyczajowej dzisiejszego społeczeństwa niemieckiego.

W ŁONIE NAUCZYCIELSTWA

W DRUGIEJ połowie czerwca odbyły się walne zjazdy delegatów dwóch organizacyj polskiego nauczycielstwa szkół powszechnych, a mianowicie: Stowarzyszenia chrześcijańsko-narodowego nauczycielstwa szkół powszechnych i Związku nauczycielstwa polskiego.

Ten ostatni posiada wprawdzie w swem łonie sekcję szkolnictwa średniego, ale skupia ona zaledwie małą część nauczycielstwa szkół tego typu i ci giną w masie nauczycieli szkół powszechnych.

Związek jest liczniejszy od Stowarzyszenia. A poza tem zachodzą między temi dwiema organizacjami bardzo poważne różnice natury zasadniczej.

Społeczeństwo polskie zamało się niemi interesuje i zbyt skąpe ma o tem wiadomości, jakkolwiek 70 tysięcy osób licząca armja nauczycieli szkół powszechnych może zaważyć niemało na losach Polski, a wpływ organizacyj zawodowych odegrywa niepoślednią rolę w kształtowaniu się duszy nauczycielstwa. Dlatego wydaje się słusznem — w tygodniku poświęconym „kulturze twórczości polskiej" — udzielić trochę miejsca charakterystyce dwóch ugrupowań, reprezentujących zupełnie odrębne światy myśli uczuć i dążeń, jakie wnosi do szkoły, wychowującej całe młode pokolenia polskie, nauczycielstwo, pozostające w sferze oddziaływania jednej i drugiej organizacji zawodowej.

Charakterystykę najlepiej zacząć od Związku. Liczy on swych członków na dziesiątki tysięcy. Sprzyjające okoliczności pozwoliły mu rozwinąć szeroką i swobodną działalność w różnych kierunkach, ma swych przedstawicieli na bardzo wysokich stanowiskach. Jakie wartości daje nauczycielstwu ta potężna organizacja?

Jej światopogląd zdradza wszelkie cechy pochodzenia masońskiego. Znany jest powszechnie negatywny stosunek Związku do Kościoła katolickiego i duchowieństwa. Stale maluje się je, jako największego wroga oświaty i państwa. W tym celu wydano nawet przed kilkoma miesiącami książeczkę, którą Związek gorąco propaguje i gorliwie rozszerza.

Tak samo wśród „czołowych" członków Związku niema najmniejszego zrozumienia i uznania dla idei narodowej. O silnych wpływach żydowskich w Związku mówi nie tylko rzucająca się wszędzie w oczy osoba p. Mandelbauma, dziś Drzewieckiego, ale i wielki udział semitów w prasie związkowej. Żydzi „tworzą" „polską" myśl pedagogiczną dla Związku. Oczywiście nosi ona na sobie specyficzne cechy tej rasy.

Dawniej Związek głosił zawzięcie hasła jak najbardziej liberalne, demokratyczne, „postępowe". Dziś większość ich złożył do rupieci. Stał się natomiast entuzjastycznym wielbicielem ustroju autorytatywnego i wszechmocnego „państwa pracy".

Marzy się Związkowi o tem, aby móc wszystkich trzymać za cugle. Te „sny o potędze" wcielano w życie najrozmaitszemi środkami. Było wśród nich i demagogiczne anarchizowanie nauczycielstwa, liczą również na strach. Budzono wilcze apetyty na dobre posady, szybkie awanse, łatwą karjerę. Łudzono nieziszczalnemi obietnicami świetnych warunków. Olśniewano wrażeniami kolosalnej mocy Związku i jego nieograniczonych niemal wpływów. Stosowano na wielką skalę mydlenie oczu, donosicielstwo, nadużywanie stanowisk służbowych i t. p.

Cały ten bogaty niezmiernie arsenał środków napędził do szeregów Związku owe dziesiątki tysięcy członków, dał możność rozporządzania dużemi środkami finansowemi, a przedewszystkiem— pozwolił zaprząc nauczycielstwo do wózka politycznego.

Olbrzymi ciężar agitacji i machinacyj wszelkiego rodzaju spoczął na barkach pedagogów. Niektórzy z nich zarobili na tem dobrze, ale ogół wyszedł fatalnie. Wprowadzono nauczycielstwo w wir najbardziej zawziętych, nieprzebierających w środkach walk partyjnych. Ściągnięto nań oburzenie i nienawiść szerokich mas ludności. Poderwano zupełnie zaufanie i szacunek. Nauczyciel nietylko stracił należną mu pozycję w społeczeństwie polskiem i uniemożliwił sobie na długie lata jakąkolwiek pracę obywatelską, ale i skompromitował się jako wychowawca: dzieci i młodzież są najczulsze na wszelkie rozbieżności między słowami głoszonemi a wykonywanemi czynami, między hasłami i życiem.

Gdyby za to poprawiło się choć położenie materjalne nauczycielstwa, ustaliła się jego sytuacja prawno-służbowa, zmieniły się na lepsze warunki pracy w szkole... Ale gdzie tam. Właśnie wtedy, kiedy w Sejmie znalazła się liczna reprezentacja „czołowych" członków Związku, gdy wielu z nich objęło wysokie stanowiska, a wszędzie głoszono przechwałki o tem, że Związek decydujący wywiera nacisk na kierunek prac ustawodawczych w zakresie praw nauczycielskich i szkolnictwa, właśnie wtedy spadały na nauczycielstwo najcięższe ciosy, obarczono je nadmiarem

obowiązków w szkole i poza szkołą, uzależniono całkowicie od łaski i niełaski różnych potentatów z pośród możnych tego świata, obcięto uposażenia więcej niż innym funkcjonarjuszom państwowym.

Obiecywano sobie po Związku złote góry, raj na ziemi, a przyszły same klęski i srogie udręki. Dziesiątki tysięcy ludzi spotkał strasznie gorzki zawód. Zaczęły się mnożyć objawy niezadowolenia z polityki „czołowych" członków Związku, rosły fermenty, walki przybierały charakter coraz bardziej zawzięty. Od kilku lat kształtowało się to wszystko po ogniskach związkowych i okręgach. W tym roku nastąpił wybuch na walnym zjeździe delegatów. Częstowano się nie tylko mocnemi słowami, ale nie uszanowano nawet twarzy delegackich, puszczono w ruch ręce, nogi, kałamarz. Taki był wstęp do zjazdu.

Pierwszego dnia uchwalono 220 głosami przeciwko 150 *votum* nieufność dla zarządu głównego. Na drugi znów dzień taką samą większością głosów zarząd główny otrzymał *votum* zaufania. Przerwę, trwającą 24 godzin, użyto „na przekonanie" kilkudziesięciu delegatów, iż lepiej będzie zmienić stanowisko wobec zarządu głównego. Ale to sytuacji nie zmienia: rozkład Związku trwać będzie nadal.

Zupełnie innego rodzaju są kłopoty Stowarzyszenia chrześcijańsko-narodowego nauczycielstwa szkół powszechnych. Od kilku lat liczba jego członków powoli się zmniejsza i spadła obecnie poniżej 10 tysięcy. Organizacja ta nie jest w łaskach. Posady w szkołach, lepsze miejsca, wszelkie awanse, urlopy na kształcenie się i t. p. przypadają dziś w udziale członkom Związku. Nic dziwnego, że Stowarzyszenie nikogo nie nęci widokami karjery, wygodnego urządzenia się, spokojnego żywota. Na konferencjach nauczycielskich, przy wizytacjach, na egzaminach wielu inspektorów szkolnych nie szczędzi mniej lub więcej życzliwych rad, aby zapisywać się do Związku. Rozmowy w cztery oczy z przedstawicielami władzy bywają niekiedy jeszcze bardziej ważkie w argumenty, skłaniające członków Stowarzyszenia do opuszczenia jego szeregów. Do tego trzeba dodać „koleżeńską" akcję niektórych związkowców, którzy dla własnych korzyści trudnią się wygryzaniem „chrześcijan" drogą fałszywych denuncjacyj, zastraszania, dokuczania na każdym kroku i t. p.

Pozatem Stowarzyszenie nie uprawiało nigdy demagogji, nie łapało ludzi na wędkę obietnic. Nie angażowało się w żadną politykę partyjną. W miarę sił swoich i możności organizowanizowało samopomoc koleżeńską: ma swe domy w Jastrzębiej Górze, Zakopanem, Szczawnicy i Lwowie. We wszystkich aktualnych zagadnieniach zawodowych zajmowało zawsze uczciwe i wyraźne stanowisko, broniąc gorliwie interesów nauczycielstwa i szkolnictwa polskiego.

Za najważniejsze zadanie swoje uważa Stowarzyszenie podniesienie na jak najwyższy poziom pracy wychowawczej nauczyciela. Chce ją oprzeć na podstawach etyki chrześcijańskiej i kultury narodowej, Do tego potrzebna jest zdrowa atmosfera moralna i silne charaktery. Nie może być dobrym wychowawcą nauczyciel bez przekonań, nasłuchujący skąd wiatr wieje, gotowy do wysługiwania się za wszelką cenę, zdemoralizowany w wirze nieprzebierających w środkach walk partyjnych.

Oto są najpilniejsze troski Stowarzyszenia. Jego obywatelskie stanowisko sprawia, że organizacja ta, choć nieliczna, jest zwarta i krzepka. Można się było o tem przekonać na ostatnim walnym zjeździe delegatów. Zaraz na jego początku przyjęto jednomyślnie wniosek o wyrażenie zarządowi głównemu uznania i podziękowania za gorliwą pracę w obronie interesów nauczycielstwa. Przebieg całego zjazdu był poważny, panowała na nim harmonja całkowita.

Takie są zasadnicze różnice między dwiema organizacjami polskiego nauczycielstwa szkół powszechnych.

K. PIOTROWSKI

NAUKA i LITERATURA

„CZŁOWIEK Z BRAMY"

CZYTAJĄC drugą z kolei powieść M. Rusinka, jesteśmy świadkami dalszych dziejów Piotra Ożelucha [1]). W „Burzy nad brukiem" pokazał autor jego dzieciństwo i wczesną młodość, z nieodłącznem ubóstwem i wzrastającą nędzą. Teraz następuje druga faza w życiu Piotra: wyrywa się z dotychczasowych warunków i upartą pracą zdobywa lepsze podstawy bytu. W Gdyni—mieście przyszłości — upływa sześć lat życia bohatera; można zaryzykować zdanie — urabia się tam nowy człowiek. Z chłopca, wyrostka, oberwanego i lekceważonego przez wszystkich, przekształca się na mężczyznę, który żyje z jedynym celem w sercu. Cel jest dość prozaiczny: własna kamienica w rodzinnem mieście. Aby go zrozumieć, trzeba sięgnąć myślą wstecz i przypomnieć dom Gąsiorków, w którym rodzice Piotra byli stróżami, a on sam, dziecko jeszcze, pomagał matce w czem mógł, nosząc wiadra węgla, kosze z bielizną i t. d. Tak zatrudnionego mijała Danusia Gąsiorkówna z wysuniętą nieco dolną wargą, jakby go chciała opluć. Bogata dziewczyna staje się symbolem upragnionego pieniądza, a także ideałem kobiety, który trzeba zdobyć.

Według Piotra, ludziom, którzy go przewyższyli posiadaniem domu (wspaniałego domu w stylu gotyckim), można dorównać tylko posiadaniem podobnego. Zważmy, że Piotr, wychowany jakby u podnóża kamienicy, w chłopięcych marzeniach nie sięgał poza dwa piętra schodów, szorowanych mozolnie przez matkę. Marzenia zamiast osłabnąć krzepły z biegiem lat, może dlatego, że łączyły wiele rzeczy naraz: wyzwolenie z biedy, osiągnięcie w życiu czegoś lepszego i wreszcie odwet na chlebodawcach za nędzne życie.

Lata, przebyte w Gdyni, mijają niepostrzeżenie młodemu Ożeluchowi na żmudnej, codziennej pracy. Miasto wokół niego pęcznieje i narasta z dnia na dzień; nowe domy i ulice spychają do kąta zapomniane, małe chałupy. Nie słychać już szumu morza, jak wówczas, gdy Piotr witał nowe miasto. To go jednak nie wzrusza, przyszedł tutaj, żeby pracować. Wybiera zawód fotografa; zakład, spoczątku prymitywny, mieszczący się w jednej izbie, rozrasta się do czterech pokojów, Piotr ma pomocników, buchalterkę. Są w mieście inne jeszcze zakłady, Ożeluch wytrzymuje konkurencję i bogaci się ciągle, kupuje nawet parcelę, którą potem sprzedaje; może teraz naprawdę pomyśleć o domu.

Tak to wszystko wygląda, jakby w życiu Piotra nic się nie działo, tymczasem dzieje się bardzo wiele: rośnie tu nowy człowiek, nie wielki wynalazca, ani uczony, ale tęgi człowiek czynu. Ozwie się w nim ten zdrowy głos w dosko-

[1]) Michał Rusinek: „Człowiek z bramy", Warszawa 1934, str. 216.

nałej scenie podczas demonstracji szewców przeciw nowej, konkurencyjnej firmie obuwia. Parokrotne, przejmujące zawołanie Piotra do ludzi tłumaczy jego cały kilkuletni dorobek myślowy i uczuciowy. Czytelnik oczekuje reakcji zupełnie innej, przejścia do „swoich" i wspólnej demonstracji. Ożeluch wprawdzie wybucha, lecz za pracą. W słowach skupionych naprędce, niespodziewanych nawet dla niego, stara się wytłumaczyć i przekonać ludzi, że nie walką, lecz współpracą i pojednaniem z nową firmą utrzymają się na powierzchni. Chociaż słowa Piotra nie wywierają na tłumie wrażenia, okażą się potem słuszne. Burzliwa, pełna emocji scena, kończy się wtargnięciem policjantów.

To i owo chciałoby się autorowi wytknąć — pewne niedociągnięcia, czy raczej przeciągnięcia — całość zostawia jednak sumę wrażeń dodatnich. Doskonale pomyślana scena z wywoływaniem klisz, widziana od strony Piotra i Marty (pomocnicy i cichej wielbicielki), nasuwa pewne refleksje w stronę Choromańskiego. Osoby, grające tu główne role, wypowiadają lub wysłuchują dwukrotnie tych samych słów, inne jest tylko za każdym razem natężenie emocjonalne, przez co zdania nabierają niespotykanej wprost pełni znaczenia. Akcesorja towarzyszące, jak szalony wiatr od morza, trzeszczenie cienkich ścian domu i niesamowity jazgot z ulicy nadają scenie tło właściwe. Warto jeszcze zaznaczyć prześliczny stosunek Piotra do matki. W całej książce właściwie dwukrotnie nawraca on do matki. Kiedy po raz pierwszy w Gdyni pije kawę, przypomina mu się każde rano, kiedy matka stawiała kubek z kawą obok łóżka Piotrusia - lenia; pił ją wówczas „z żarłocznością młodego wilka... tę pachnącą kawę, matczyną kawę, świętą kawę". Potem znowu, gdy Piotr powraca do Krakowa, aby odwiedzić rodzinne miasto, obsiadają go wspomnienia, tak silne, że w nowej stróżce domu Gąsiorków, widzi własną matkę. Nawet spotkana przelotnie Danusia Gąsiorkówna nie zdołała umniejszyć matczynego czaru. Końcowa scena książki, powiązana z przeszłością, przyszłością i nowem odrodzeniem Piotra, spina całość pięknie i harmonijnie.

Z. S.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

W związku ze sprawą współpracownictwa pisarzy polskich w demoralizatorskiem wydawnictwie p. Marjana Dąbrowskiego „Tajny Detektyw" donoszą nam z Krakowa, iż dn. 6 ub.m., na posiedzeniu krakowskiego Związku Zawodowego Literatów złożony był wniosek p. K. L. Konińskiego, domagający się wykluczenia z liczby członków Związku tych autorów, którzy we wspomnianem czasopiśmie drukują swoje utwory.

Jedynie wskutek przeoczenia prezydjum wniosek ten nie został poddany pod głosowanie (sam wnioskodawca przebywał w tym czasie w Zakopanem). Na najbliższem więc Walnem Zgromadzeniu krakowskiego Związku Zaw. Literatów, które odbędzie się z początkiem jesieni r.b., wniosek o wykluczenie współpracowników „Tajnego Detektywa" zostanie rozpatrzony i przegłosowany.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Dziś, gdy bezrobocie stało się klęską i to klęską jedną z najgorszych, zdobycie pracy i stanowiska jest sprawą szczególnie palącą dla każdego młodego Polaka, zwłaszcza Polaka-inteligenta. Dlatego książką na czasie jest broszura Kazimierza Jabłowskiego „Jak zdobywać pracę i stanowisko", wydana gustownie przez ruchliwą i jeszcze na szczęście zupełnie polską firmę „Książnica-Atlas". W żywo i trzeźwo napisanej przedmowie autor stwierdza: „Byłoby niesłusznem sądzić, że w Polsce istnieje nadmiar pracowników umysłowych, że mamy nadprodukcję inteligencji. Należałoby raczej powiedzieć, że istnieje niewłaściwe rozmieszczenie jej w terenie. W stolicy i dużych miastach mamy istotnie nadmiar inteligencji, ale w małych miasteczkach, w osadach i wsiach wszystkie dziedziny życia odczuwają jej brak".

Ale wszędzie trzeba umieć szukać, by znaleźć. Wszak pieczone gołąbki same nie lecą do gąbki. Potrzebna jest nietylko przedsiębiorczość i wiara w siebie, ale i wiedza fachowa, a nadewszystko „znajomość terenu". Tej właśnie znajomości terenu — i metod do celu prowadzących — uczy p. Jabłowski. Przedewszystkiem uczy systematyczności w tych zabiegach. Blaga i tupet — to środki tylko na krótką metę skuteczne. Potrzebna jest rzetelność tak wiedzy, jak i zasad moralnych. A w nienajmniejszym stopniu potrzebna jest i znajomość ludzi — silny podkład prawdziwej wiedzy psychologicznej. Książka nadaje się na lekturę dla uczniów, nietylko szkół zawodowych, nadewszystko zaś dla abiturjentów.

(J. B.)

MUZYKA

OKRES letni daje nam możność spojrzenia krytycznego na całość wydarzeń, składających się na t. zw. sezon muzyczny. Krytyka ta nie może polegać jedynie na negacji. Nie o nią bowiem chodzi, ale o wyciągnięcie pozytywnych wniosków na przyszłość.

Ośrodkiem sztuki odtwórczej, do którego wszyscy są najbardziej przyzwyczajeni i w którym przyzwyczajenie zdaje się być punktem wyjścia i podłożem działalności, jest Filharmonja. I tu stanowczo należy oddzielić sprawę kierownictwa instytucji od pracy samej orkiestry, której się wcale wstydzić. nie możemy. Prowadzona ręką dobrego dyrygenta dawała słuchającym naprawdę dużo zadowolenia. Umiejętność, a nawet sama możliwość poddawania się suggestji prowadzącego jest już jej dużym walorem. Nie do pochwalenia jednak jest przemęczenie, które, przyznajmy, niejednokrotnie dawało się odczuć. Bo orkiestra filharmoniczna jest stanowczo przeciążona pracą, na co już niejednokrotnie zwracano uwagę.

Działalność zarządu... W środku, mniej więcej, sezonu nastąpiły tam zmiany personalne, nie wiadomo więc, komu przypisywać winy za to wszystko, co się działo, a zwłaszcza za to, co się nie działo. Za to uparte trzymanie się konwenansu i ten, niejako obowiązujący protokół. Przychodzą mi ciągle na myśl owe projekty i żądania zprzed lat dziesięciu. Owe wielkie hasła umuzykalnienia mas, powiększenia koła słuchaczów, organizacji filharmonji ludowej... Jaka przestrzeń dzieli słowa od realizacji! A przecież ma się niemałe możliwości w swem ręku.

Koncerty piątkowe („wielkie koncerty symfoniczne") odznaczały się programem układanym nierówno, bez żadnej głębszej linji, z dużą, a nawet dominującą dozą przypadkowości. Przez pół roku obdarzały nas niemal bezustanku skrzypcami, przez drugie pół fortepianem. Skąpiły muzyki polskiej, hojnie np. obdarzając słuchaczy Straussem, który był prawdziwym wybrańcem sezonu, tak zresztą, jak i muzyka rosyjska poranków niedzielnych. I to również w sposób bezplanowy. Przykładem koncert fortepianowy Rachmaninowa, grany przez trzy niedziele w miesiącu! Przyznajmy, że dano jednak i wreszcie spokój suitom Griega.

Przedział między koncertem piątkowym a porankiem symfonicznym był spory. Jest to dla mnie jeden z większych zarzutów, który należy postawić zarządowi. A przecież poranki mają tak dużą wartość wychowawczą. I przychodzą na nie ludzie, którzy naprawdę szczerze reagują na muzykę, ludzie, których nie stać nawet na najtańszy bilet koncertu wieczorowego. Tymczasem odmawia się im tych informacyj o granych utworach, które się podaje piątkowej publiczności, bardziej zdawałoby się wykształconej, odmawia im się nawet programu, karząc płacić za zdezaktualizowany w dużej mierze druczek pięćdziesiąt groszy, sumę równającą się cenie biletu. Czy to ma być akcja wychowawcza? Przyznać przecież trzeba, że o nią to właśnie chodzi. Zwykle w dyskusjach nie odróżniamy problemu umuzykalniania ogółu od powiększania koła umiejących słuchać. Koło to jest jakby węzłem pośrednim pomiędzy elitą twórczą a masami. Nazwijmy ją elitą słuchających. Zagadnienie dużej miary, zupełnie źle u nas interpretowane.

Jak widzimy, zadanie Filharmonji jest niemałe i niełatwe. Ale przedewszystkiem należy sobie zdać sprawę, że się je wogóle posiada, że zadanie instytucji nie polega jedynie na dostarczaniu dwa razy na tydzień „kulturalnej rozrywki", że tu chodzi o rzeczy większej miary.

Recitale solowe mają swoje miejsce w sali Konserwatorjum. Przyznać trzeba, że i one nosiły charakter zupełnie przypadkowy, zrozumiały zresztą w tym wypadku. Zainteresowanie publiczności niewielkie. Widocznie brak było owego pędu, owej siły przyzwyczajenia, karzącej co piątek wędrować na koncert symfoniczny. To też skutki takiej obojętności są już dzisiaj widoczne. Tak dalej być nie może.

Niezbyt również dopisywali słuchacze na audycjach Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Muzyki, a przecież są to wieczory, dające atmosferę prawdziwej sztuki. Przyznam się, że już sama strona graficzna programu mówi mi wiele o poziomie koncertów, dalekich od kabotyństwa płytkiej wirtuozerji, popisu dla popisu, przepojonych natomiast szacunkiem dla sztuki, dla twórcy i przez to dla siebie. Dodajmy do tego postawione sobie zadanie, całą działalność Stowarzyszenia, a będziemy mieli pełny obraz. Zaznaczyć trzeba, że w ciągu roku słuchaliśmy audycyj poświęconych i muzyce współczesnej, co wskazuje na brak instytucji, poświęconej muzyce kameralnej, którąby w zasadzie nie była poświęcona twórczości czasów ubiegłych. Jest to dotkliwa luka, której się należy wstydzić, zwłaszcza w zestawieniu z tradycjami muzycznemi w tej dziedzinie. Sprawa jest pilna. Nie posunęły jej bowiem ani o krok dwa wieczory towarzystwa *„Alliance Française"*, chociażby dlatego, że nosiły charakter propagandowy i poświęcone były muzyce wyłącznie francuskiej. Nie posunął jej i konkurs kwartetów o nagrodę darowaną przez Armję. Świadczył on tylko o istniejących wysiłkach i był jeszcze jednym dowodem potrzeby większej inicjatywy. Przykład ten mówi bardzo dużo. Przypomina o ciasnem kole naszego życia muzycznego, w którem od czasu do czasu odbywa się jakaś rozgrywka, jakieś komiczne, bez istotnej treści i potrzeby, widowisko „opanowywania", pozatem wszystko jak zwykle, jak codziennie i od lat.

Możnaby się doprawdy stać pesymistą, gdyby nie widać było pierwszych oznak reakcji, zdrowej, kulturalnej, daj Boże, mocnej i skutecznej.

Ale o tem innym razem.

W. NARUSZ

FILM

Pan: „W niewóli dżungli", reż. Cecil de Mille, film amerykański.

Inteligentnie pomyślany, o niebanalnem założeniu film. Rzeczy z wyzyskaniem pejzażu i atmosfery Południa, jako tła, już nieraz były robione, ale nie tak. Pokazywano zazwyczaj — i słusznie — właśnie piękną malowniczość tego tła, z mniejszym już sensem rysując na niem jakąś romantyczną historyjkę, wysupłaną ze spotkania europejczyków z tubylcami. Tu reżyser nie uległ schematowi żadnego z dotychczasowych rozwiązań.

Nowe warunki (pobyt i przedzieranie się zbłąkanych czworga osób przez haszcze dżungli) wyzwalają w bohaterach tej opowieści nieobjawione dotąd możliwości, lub przeciwnie: gaszą ich dotychczasową wartość (może nieistotną?). Bardzo łatwo było wpaść w robinsonadę, ale reżyser i tego szczęśliwie uniknął. Nie wmawia także, nieszczerze, że pobyt na łonie natury, pełnej zasadzek w dodatku, tak czworgu zbłąkanym przypadł do smaku, iż nie będą myśleli o powrocie do cywilizacji (zabawa w dzikusów).

A zabłądziło w dżungli, jak wspominaliśmy, czworo: słynny reporter potężnego koncernu prasowego i prelegent radjowy, chemik, niestary, ale mól, paniusia w średnim wieku, członkini wielu tow. dobroczynnych i namiętna apostołka świadomego macierzyństwa, wreszcie młoda nauczycielka geografji, zahukane stworzenie w okularach. Z początku zbłąkanie traktują (zwłaszcza paniusia) jako niewinną, nawet miłą przygodę, w miarę piętrzenia się trudności zmieniają jednak humor, zdanie i... skórę. Paniusia przestaje uważać, że cały ten świat, wraz z tubylcami, został wymyślony jedynie jako atrakcja dla europejczyków. Dziennikarz, niedawny bohater we własnem mniemaniu, tu niepodsycany kadzidłem codziennych zachwytów i podziwu (znakomitość!), poprostu gaśnie, staje się szmatą, nieledwie histerykiem. Przeciwnie, uczony chemik, w swej pracy dotychczasowej ciągle lekceważony i spychany w kąt, tutaj widzi, że jest potrzebny i pożyteczny. Z poczwarki w motyla przeistacza się także młoda nauczycielka. Okazuje się, że jest b. ładna i miła; jej towarzysze jakoś tego przedtem nie zauważyli i nawet byli dla niej niegrzeczni, teraz wodzą się o nią za łby. Więc nabrała pewności siebie, bo wiadomo: gdzie dwuch się kłóci, tam trzecia korzysta. Wszystko kończy się dobrze i nawet sakramentalny *happy-end* wypadł świeżo pod względem artystycznym, dzięki pomysłowej reżyserji.

Ilustracja dźwiękowa, zmontowana z nocnych odgłosów puszczy, trafnie oddaje atmosferę lęku i niepewności, w której tkwili przygodni podróżnicy, zwłaszcza podczas nocnych postojów.

KANDYD

NOWE KSIĄŻKI

Pamiętnik Literacki. Kwartalnik. Lwów, Rocz. XXXI, zesz. 1 — 2. Str. 248.

Ruch Literacki. Warszawa, nr. 5.

Nauka polska, jej potrzeby, organizacja i rozwój. Tom XIX. Warsz. 1934. Kasa Mianowskiego. Str. 573.

M. Arcta. Historja Sztuki. Zesz. III. Warszawa.

Bułhak Jan. Bromografika, czyli metoda wtórnika. Z ilustr. Wilno 1934. Str. 85.

Maciesza Aleksander. Typy antropologiczne ludności wczesno-historycznej Mazowsza płockiego. Warsz. 1933. Państw. Muzeum Archeol.

Maciesza Aleksander. Osobnik jako przedmiot studjów antropologji. Poznań 1934. Odb. z Przegl. Antrop.

Pigoń Stanisław. Sąd nad Polską w „Panu Tadeuszu". Kraków 1934. Akad. Umiejętn. Str. 24

Kossowski Jerzy. Rodzina Smuszków. Powieść. Warsz. 1934. Gebethner i Wolff.

Giertych Jędrzej. Za północnym kordonem (Prusy Wschodnie). Warsz. 1934. Skład główny w księg. Ossolineum (Nowy Świat 72). Cena zł. 6.50. Str. 240 i mapa.

Helsztyński Stanisław. Pieśń nad pieśniami. Przekład biblijny. Poznań 1934.

Dobaczewska Wanda. Zwycięstwo Józefa Żołędzia. (Powieść). Wilno 1934. J. Zawadzki.

Janik Michał. W służbie idei niepodległości. Pamięci Hipolita Śliwińskiego. Kraków 1934. Drukowane jako rękopis. Str. 99 (z portr.).

Makjawel Mykoła. Wołodar *(Il principe)*. Perekław Mychajło Ostrowercha. Lwiw 1934. Knig. Westnika, nr. 2.

Zaranie Śląskie. Cieszyn — Katowice 1934, nr. 2.

OFENSYWA

ODKRYWCA „ORIENTU"

JUŻ można dostać w Warszawie, wychodzący od 25 kwietnia dwutygodnik przez n i e g o powołany do życia, z Sobelsohnem, jako głównym *Meistersinger*'em.

I już można też nabyć nowe dzieło autora „Pani Recamier" i „Beethovena", u Hachette'a wydane, przedtem kawałami w tygodnikach drukowane, odrazu przez wszystkie bulwarówki rozsławiony *„Orient"*.

Po Célinie, którego, nawiasem mówiąc, już demony z Hollywood kupiły, aby (przed jesienią) sfilmować i nadal białą rasę syfilizować, po Célinie druga książka omal równie odrażająca. Szybko jedzie po błocie znowu ku władzy i premjerostwu już zdawałoby się zlikwidowany i usunięty w cień szampion masoński... Znany jest w świecie ze swej omal symbolicznej godności „mer Lyonu", a więc najwyższe *cis* mieszczucherji, groszorobów, perkalikarzy, kantorzystów, eksporterów i giełdowych *jobber*'ów. Jeżeli wśród burmistrzów sławnych mogą być takie świetlane, bohaterskie postacie, jak goszczący u nas niedawno mer Brukseli, to niestety muszą być i takie, jak nasz pękaty, brzuchaty, słoniowaty, niskoczoły człowiek z najgrubszymi palcami, któremi pisze swo artykuły i dzieła. Jest bowiem i intelektuelem archiburżuj asfaltowy i bawi się w klerka. Nie wystarczają mu perkaliki i jedwabie, socjeta fabrykantów i deputowanych z „Pałacu Bubonów" (*Palais Bourbon*).

Wódz radykałów paryskich był zawsze popisowym, okazowym typem mieszczucha w najgorszym guście. Nic a nic w nim nie było z tego typu mężów stanu francuskich, co to kochają i ziemię, kultywują swój ogródek i lubią uciekać raz po raz gdzieś na wieś, w przyrodę, między chłopstwo francuskie, w łąki, w lasy. Takimi byli nawet doktór med. Clemenceau, nawet Briand, zgniły cynik i oszczerca swych generałów (przed Niemcami). Herriot nie pożegnałby się ze swoim asfaltem, knajpami, kuluarami pyskarni paryskiej, reporterami, fotografami i karykaturzystami. Poincaré, mając już przeszło siedemdziesiątkę, objeżdżał z odczytami o Francji wszystkie stolice Południowej Ameryki. Majętny mer bogatego Lyonu w pierwszą egzotyczną daleką podróż wybrał się dopiero teraz na wiosnę, aż na daleki (najbliższy) Wschód, salonką do Sowietów, gdy tam już wszystko „ustabilizowane" (bezpieczne). *„Ou revient toujours a ses premiers Augurs"*... Na wizyty do Polski nigdy nie znalazł czasu ni okazji pseudopolonofil z ery, kiedy był jeszcze Farysem i Parysem. Ale podróż „hazardowną" na „daleki" *„Orient"* jednak zaryzykował. Najpierw posłał na zwiady młodo-Turka bł. p. Cota z grona tej radykanalji, która niedawno doprowadziła do masakry z 6-go *Fevriera*"... Mecenas Cot, kubaniarz, zaopinjował że „już można", już „nic nie grozi" i wtedy wybrał się w podróż egzotyczną kluchowaty mer Lyonu, tak nic nie mający wspólnego z... Richard Coeur de Lion"...

Wyszła z tego wszystkiego książka. „Żydłakes" z „Inturista" nie odstępowały wzdętej *celebrité* kapitalistycznej ani na krok, ani na chwilę. Eduardo pocił się i pocił, ale podziwiał bez przerwy. Kiedy już miał mdleć ze wzruszenia, kąpano go w szampanie krymskim, potem masowano i wcierano weń kawior astrachański. Więc znów podziwiał. W niecały miesiąc poznał cały kontynent sowiecki, nadto kraje bałtyckie i Bułgarję. Wrócił do Lyonu jako triumfator, jako Vasco de Gama, czy Allain Gerbault. Nie było końca opowiadaniom podróżnika o kołchozach i kozakach, cygańskiej muzyce i stepach, samowarach i samogonkach. Brzuchacze radykalni i senatorzy-dziennikarze słuchali z rozdziawionemi paszczami. No i z tego powstała cała książka. Z tej samej makakimafji drugi radykał (nienawidzący Herriota) Daladier nazywał zawsze spoconego wodza: *„l'ami de tout de monde"*. Istotnie, wielbiciel Wergilego swego czasu kochał się w Trockim, a potem w Roosevelcie, był w najbliższej przyjaźni z Tardieu, ale równocześnie ślinił się z Kubaniarzami i złodziejami z bandy gangstera Bluma et Comp. Dopiero teraz atoli zakochał się już bez pamięci i bez opamiętania, jak student. Kozaki mu imponowały już w r. 1914. Ale ogorzał dopiero od miesiąca tego, który na wiosnę spędził wśród żydów z Kremla, z Charkowa, z Dnieprostroju, Krymu i t. p. Argonauta znalazł wreszcie Kolchidę, Guliwer opowiada o olbrzymach swoim rentjerom, pończoszkarzom, grajzlerom, fabrykantom, kamienicznikom, kołtunom i łykom. I robi czasem fałszywe chyba wrażenie jakby adorował nie władztwo Lenina, ale jakiegoś Alfonsa...

„La plus formidable puissance militaire du temps moderne". Nie bój się Marjanno, niczego! bo tam mają takie bicepsy, takie muskuły, jaja są takie tanie, chleb, cukier, mięso za bezcen, armat, tanków coniemiara, lotnictwo w najwyższym rozwoju, „prezydent Kalinin i dobrodusznością przypomina Loubeta", Stalin zachwycający, Litwinow umie być „czarująco ordynarny", Radek jest inteligentny i w dal widzący, kozackiej kawalerji będzie z kilka miljonów, „żołnierze salutują po francusku", rezerwy militarne nieprawdopodobne, roczny przyrost ludności trzy miljony, reprezentanci literatury wprost czarujący i zachwycający, pissuary całkiem nowoczesne, kultura i to nowa na każdym kroku... Chanaan. Wprost krztusi się superlatywami i komplementami, duserami i podlizywaniami ten reportaż podróżniczy paryskiego męża stanu...

Takie książki, jak ta Herriota, przyjaciela kriminalisty miljonera Patenotre'a (właściciel *„Le Lyon Republicain"*) i tylu innych masońskich sceleratów i eskroków usprawiedliwiają omal całkowicie wstręt i odrazę do zachodniej burżuazji. Nie można się potem dziwić, jak jeden żyd (Zyssman) „pali Paryż", a drugi żyd (Erenburg) wali paszkwil infernalny o nowoczesnej Kartaginie, o stolicy Frotów i Cotów, Chautempsów, Sarrautów, Stawiskich, Margueritte'ów... Takim entuzjazmem bez zastrzeżeń wybuchał swego czasu tylko Szalom Arsch, czy Asch. Łatwo sobie można wyimaginować, z jaką odrazą i pogardą trzymają taki *„Orient"* w ręku panowie Kremla. Tak nie zapędzał się w adorowaniu nawet Louis Fischer. komunista, który trzynaście lat tam siedział. O moralności i obyczajowości literatów sowieckich całkiem inaczej wypowiedział się niedawno sam Maksym Goskij.

Jedna natomiast z reprezentatywnych osobistości dzisiejszej Lewycowej, radykanaljalnej, zdegenerowanej do szpiku kości III-ciej Republiki ogorzała od miesiąca pobytu w „Orjencie". Pod wpływem tego porażenia, tego udaru mózgowego Bel-ami czy *l'Ami de tout le monde* ma zdecydowaną wolę ratować swą sknockautowaną radykanalję entuzjazmem dla czerwonego wschodu.

Nie tak dawno, jak tego mera Lyonu wykluczyła za patrjotyzm „Liga Obrony Człowieka i Obywatela" (Stawiskiego), a potem z powrotem przyjęła znów i wkluczyła.

Nie trzeba zatajać, że o tej ogorzałej od miesiąca (pobytu w Sowietach) indywidualności czołowej wyszły w tym sezonie trzy monograficzne książki przyjacielskie: Grossclaude'a, Suareza (prawicowca) i wreszcie głównego sekretarza bandy, Jammy (?) Schmitta dzieło ideowe, ideologiczne: „Wielkie Tezy Radykalne od Condorceta do Edwarda Herriota".

Ciężko zjechał i zerżnął nieudaną makulaturę znakomitego męża stanu *„Journal de Geneve"*. Ale jeszcze zamało. Ta podróż to jest *pendant* do: „Podróży do dna Nocy"...

Marjanna musi zmienić cały personel, całą ekipę swych reprezentatywnych ludzi. To są „źli pasterze", ci pasterze z pod niezbyt jasnej gwiazdy.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Żydek polonista wykłada Polakom na akademji w setną rocznicę „Pana Tadeusza": Zmieniają się czasy i konjunktury, a Jankiel wciąż gra. Zmieniają się cymbały, a Jankiel gra i dziwnie nawet odmłodniał. Czy słyszycie, jaką stuprocentową fanfarą brzmi dzisiaj mazurek Dąbrowskiego: „Jeszcze Polska nie zginęła?" Nie zginęła, póki *mi* żyjemy!

*

Żydowski „Nasz Przegląd" wydaje dodatek dla dzieci p. n. „Mały Przegląd". W n-rze 162, skonfiskowanym za artykuł p. t. „Błogosławieni cisi—sprawiedliwi, pokój czyniący" (!) znajdujemy między innemi sprawozdanie ze świetlicy gimnazjum p. Rozenfeldowej, gdzie odbyło się przedstawienie. Program wypełniły: scena ze „Ślubów panieńskich" wiersz Tuwima p. t. „Nauka" i tańce ludowe. Czytamy: „W drugiej części programu wybiegła dziewczyna, ubrana po chłopsku, przytupnęła nogą, odtupnęła, podtupnęła i zatupała. Pianino grało mazura". Dziewczyna zapomniała jeszcze nadtupnąć... Jednakże „Mazura odtańczono jak się należy: Dryg w bok, dryg wprzód, w lewo, w prawo i już. Atmosfera czysta, zdrowa, wesoła."

Hu—ha!

*

Bawiono się, kto wymyśli wyższy „szczyt", więc szczyt zaszczytu...

— Szczytem zaszczytu jest dostać się do Akademji Literatury.

— To mało, powiedz: co może stać się szczytem zaszczytu dla samej Akademji?

— ?

— Powołać do niej Wincentego Rzymowskiego.

— Tak, to już szczyt wszystkiego.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**.
Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM